CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 53 4 MAJA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

Fot. J. Kraśniewski

JIBACOA wieś przyszłości

Przyroda na Kubie oszałamia przybysza z Europy. Roślinność jest niezwykle bogata i nieporównanie bardziej egzotyczna niż ta, którą możemy zobaczyć np. w południowych Włoszech.

Podróżując po tej niezwykłej wyspie wciąż zatrzymywałem samochód, aby obejrzeć raz plantację trzciny cukrowej, innym razem bananowy gaj, gdzie na drzewach wiązki owoców były tak wielkie, iż trzeba niemałej siły w rękach, aby je uciąć i nie upuścić na ziemię. ***(Na zdjęciu uczennica imieniem Angela ze szkoły w Jibacoa)***

C.D. NA STR. 3

Przyrzeczenie w asyście Neptuna

GDAŃSK (HSI). Z okazji 33 rocznicy wyzwolenia Gdańska w 5 Drużynie Harcerskiej w Miłobądzu – Chorągiew Gdańsk, odbyło się przyrzeczenie harcerskie. Na tę uroczystość przybyła komendantka Hufca Tczew-Gmina, hm Renata Ehlert oraz wielu instruktorów, nauczycieli i rodziców. Dekoracja sali i wystawa związane były z morzem. Królował Neptun wraz ze swoją żoną Prozerpiną oraz towarzyszącymi im boginiami, diabłem i śmiercią. Przyrzekający harcerze dzielnie przeszli próby: ziemi, wody, śmierci i ognia. Chorągiew Gdańska nosi imię Bohaterów Ziemi Gdańskiej i właśnie ta uroczystość związana była ze zdobywaniem Odznaki Chorągwianej – RODŁO, którą otrzymali wszyscy harcerze. Uroczystość przyrzeczenia w 5 DH im. Emilii Plater w Miłobądzu może być wzorem dla innych drużyn harcerskich, których drużynowi często głowią się nad wymyślaniem atrakcyjnej oprawy na takie okazje. **(bs)**

„Nasielskie Figlarki" mają dziesięć lat

NASIELSK (HSI). Harcerski Zespół Artystyczny „Nasielskie Figlarki" obchodził niedawno X-lecie swojej działalności. Opiekunem i kierownikiem zespołu jest druh harcmistrz, Stefan Jaworski. Praca w zespole to jego hobby. Sam układa piosenki. Dzięki niemu „Nasielskie Figlarki" mają na swoim koncie wiele nagród. Jedną z najważniejszych jest zdobycie w Siedlcach głównej nagrody „Złotego Misia". Z okazji jubileuszu w Nasielsku w kinie „Niwa" odbyła się miła uroczystość. Były przemówienia, kwiaty, gratulacje, popisy „Figlarek", a na zakończenie „rodzinne" zdjęcie uczestników zespołu z opiekunem.

Andrzej Konerbergier

Z KIELECKICH PRACOWNI NA ZAMEK KRÓLEWSKI

KIELCE (PAP). Pracownia Konserwacji Dzieł Sztuki w Kielcach wykonała rekonstrukcję kominków dla Zamku Królewskiego w Warszawie. Wydobyte z gruzowisk zniszczone elementy marmurowe zostały odnowione i sklejone tworzywem sztucznym. Kieleccy specjaliści zrekonstruowali 9 kominków z marmuru włoskiego i francuskiego. Kominki te powróciły na dawne miejsca, m. in. do Sali Tronowej i do Gabinetu Królewskiego. **(jd)**

Co wydobyto z zatopionych statków hiszpańskich?

WIELKA BRYTANIA (PAP). Zorganizowano tu aukcję przedmiotów pochodzących z żaglowców hiszpańskich, które zatonęły w ostatnich stuleciach u wybrzeży brytyjskich. Wśród 900 przedmiotów znalazły się eksponaty bardzo cenne, m. in. chińska porcelana z epoki Ming, czy armata okrętowa z XVI wieku pochodząca z żaglowca „San Salvador". W ostatnich latach zidentyfikowano na wodach wokół Wysp Brytyjskich kilkadziesiąt zatopionych statków z okresu od XVI do XIX w. **(jd)**

Bezpieczeństwo na drodze

OLŚNIENIA REFLEKTORAMI JUŻ NIEGROŹNE

WROCŁAW (PAP). Wrocławski wynalazca, Marian Zydorczak, opracował i opatentował specjalny ekran, zapobiegający niebezpiecznemu zjawisku olśnienia kierowców podczas jazdy. Urządzenie odbija część światła reflektorów pojazdów nadjeżdżających z przeciwka, a w dzień – nadmiar uciążliwego promieniowania słonecznego. Ekran zbudowany jest z dwu cienkich, przezroczystych płyt – z odpowiedniego szkła lub tworzywa sztucznego, oprawionych w jedną ramkę. Powierzchnia wewnętrzna jednej z płyt pokryta jest cienką metaliczną warstwą odblaskową.

Przesłona umieszczona wewnątrz samochodu tuż przy przedniej szybie zapewnia dobrą widoczność drogi zarówno w dzień, jak i podczas jazdy nocnej. **(jd)**

Szach-mat przed wilanowskim pałacem

W wilanowskim pałacu odbywały się centralne finały XX Jubileuszowego Międzynarodowego Turnieju Złotej Wieży, organizowanego przez LZS, ZSMP, redakcję „Dziennika Ludowego" i Polski Związek Szachowy. Partia „żywych szachów", jaką widzicie na zdjęciu, została rozegrana w kwietniu na zakończenie obchodów 300-lecia Wilanowa. „Żywymi szachami" byli uczniowie Technikum Drobiarskiego z Piaseczna.

Fot. **CAF**

Dziś przedstawiamy:

GHANA

Od stuleci ten kawałek Afryki nad Zatoką Gwinejską znany był jako dostarczyciel złota. Nie na darmo nazywano go Złotym Wybrzeżem. Złoto wydobywa się tu do dziś, a Ghana jest szóstym na świecie eksporterem tego kruszcu. Z biegiem czasu do złota dołączyły boksyty, mangan, diamenty, a przede wszystkim kakao, którego jest pierwszym w świecie producentem.

Ghana od początków XIX w. była kolonią brytyjską. Pod naciskiem organizacji wyzwoleńczej, Ludowej Partii Konwentu, kierowanej przez Kwame Nkrumaha, w 1957 r. Złote Wybrzeże staje się niepodległym państwem i przyjmuje nazwę dawnego średniowiecznego państwa Ghana. Od tego czasu w kraju dokonuje się wiele postępowych przemian tak w sferze gospodarczej – budowa elektrowni na rzece Wolcie, huty aluminium, rafinerii ropy naftowej i stalowni – jak i społecznej. Wszystkie dzieci w wieku 6–15 lat objęte zostają bezpłatnym nauczaniem, powstają 4 wyższe uczelnie. W polityce zagranicznej Ghana aktywnie uczestniczy w ruchu państw niezaangażowanych. Ale w 1966 r. ma miejsce inspirowany z zewnątrz zamach stanu, którego konsekwencją było zawieszenie konstytucji, rozwiązanie parlamentu i zawieszenie działalności partii politycznych. Upaństwowione wcześniej przedsiębiorstwa z powrotem oddaje się w ręce prywatne, a obcy kapitał coraz bardziej zubaża gospodarkę kraju.

W tej sytuacji w styczniu 1972 r. grupa oficerów – patriotów dokonuje kolejnego zamachu stanu. Władzę w kraju przejmuje Rada Odrodzenia Narodowego, której przewodniczy płk I.K. Acheampong. Od sześciu lat konsekwentnie realizowane są cele wytyczone przez RON: wzmocnienie kontroli państwa w sferze gospodarki – wydano decyzję o przejęciu przez państwo 55 proc. udziałów państw zachodnich w wydobyciu złota i diamentów; dalsza rozbudowa przemysłu, rozwój rolnictwa i uzyskanie samowystarczalności w produkcji żywności oraz polepszenie warunków życia ludności.

Ghana coraz ściślej współpracuje z krajami socjalistycznymi, również z Polską. Importujemy ziarno kakaowe i egzotyczne gatunki drzew. Nasz eksport jest bardzo różnorodny od kompletnych obiektów przemysłowych – „Polimex Cekop" wybudował cukrownię – poprzez maszyny i urządzenia dla przemysłu lekkiego i spożywczego, samochody, części do silników okrętowych, wyroby chemiczne i farmaceutyczne.

Rozszerzeniu tej współpracy ekonomicznej, naukowo-technicznej i kulturalnej służyła niedawna wizyta min. spraw zagranicznych Ghany Rogera Josepha A. Felli. (mj)

Jak donosi agencja...(2)

MITY I SCHEMATY

„Bojownicy palestyńscy" i „terroryści Arafata" – czy oba te określenia znaczą to samo, choć odnoszą się przecież do tych samych ludzi? Chyba nie ma czytelnika, który uznałby, że obie nazwy są równoważne. A teraz zastanówmy się przez chwilę jaka będzie reakcja czytelnika, który zapozna się z informacją prasową, o „terrorystach palestyńskich", jaką będzie miał opinię o ludziach stawianych niemal w jednym rzędzie z kryminalistami. Celowo użyłem dwóch skrajnych określeń; przecież można dobrać nieco łagodniejsze, ale równie skutecznie podpowiadające czytelnikowi: uważaj, to są prawie zbrodniarze. To jeden z najprostszych chwytów na wywołanie zamierzonej reakcji u czytelnika, grania na jego nastrojach, prowokowania opinii.

A teraz inne pytanie: czy można napisać absolutnie bezstronną informację prasową, uwzględniającą racje wszystkich stron? Teoretycznie – tak! Praktycznie – nie! Bo niewielu znalazłoby się czytelników dostatecznie wytrwałych, by przeczytać zawiły opis wszystkich faktów i argumentów, a jeszcze mniej byłoby takich, którzy potrafiliby wyciągnąć z tego jakiekolwiek wnioski. A więc? – reporter musi dokonać selekcji faktów – albo według własnej oceny (też często mylnej) albo według wymagań, jakie stawia mu jego gazeta i czytelnicy. A wybór faktów jest zawsze interpretacją wydarzenia – czyli z całą pewnością nie jest jego bezstronnym opisem.

Wielkie zachodnie agencje prasowe, które przedstawiłem w poprzednim odcinku bardzo chętnie podkreślają, że publikują tylko informacje „obiektywne", relacjonują wyłącznie „suche fakty", pozbawione komentarza. Ale jest to tylko chwyt reklamowy. Obiektywność informacji – jak to wynika m. in. z uwag poczynionych na wstępie – jest nieomal nieosiągalnym ideałem, całkowicie nierealnym, zwłaszcza gdy mowa o oszczędnych słowach doniesień agencyjnych.

Oczywiście, nikt nie może kwestionować prawa agencji do reprezentowania pewnych racji politycznych, do kształtowania opinii publicznej, do uwypuklania jednych poglądów kosztem innych, do zwalczania niewygodnych zjawisk i przemian w innych krajach. Associated Press (AP), United Press International (UPI), Reuter i inne agencje działające na Zachodzie, są związane z systemem kapitalistycznym. Trudno oczekiwać, że świadomie będą prezentować np. korzystne strony ustroju socjalistycznego, czy chwalić rządy, które pragną uwolnić się spod władzy wielkich firm zachodnich. Jest to zupełnie zrozumiałe, jako że agencje prasowe są także orężem walki propagandowej. Niezrozumiałe jest natomiast dlaczego swój punkt widzenia (jeden z wielu możliwych) uznają za jedynie prawdziwy, wiarygodny, bezstronny, dlaczego tylko prawdy, które one rozpowszechniają, mają być prawdami obiektywnymi?

Ale to jest tylko najniewinniejszy zarzut pod ich adresem. Gdyby stworzyć sobie np. obraz Polski, który kreślony jest depeszami zachodnich agencji prasowych byłby to co najmniej dziwny wizerunek. Okazałoby się, że jest to kraj, w którym bez przerwy ktoś przygotowuje powstanie przeciwko władzy ludowej, ciągle trwają aresztowania, ludzie wierzący nie mogą chodzić do kościoła. Wszystkie strony życia naszego społeczeństwa przedstawione są w możliwie ciemnych barwach. Sporadycznie można natrafić na wiadomości, już nie tylko mówiące o osiągnięciach, ale o prawdziwych trudnościach, jakie napotykamy w rozwoju kraju.

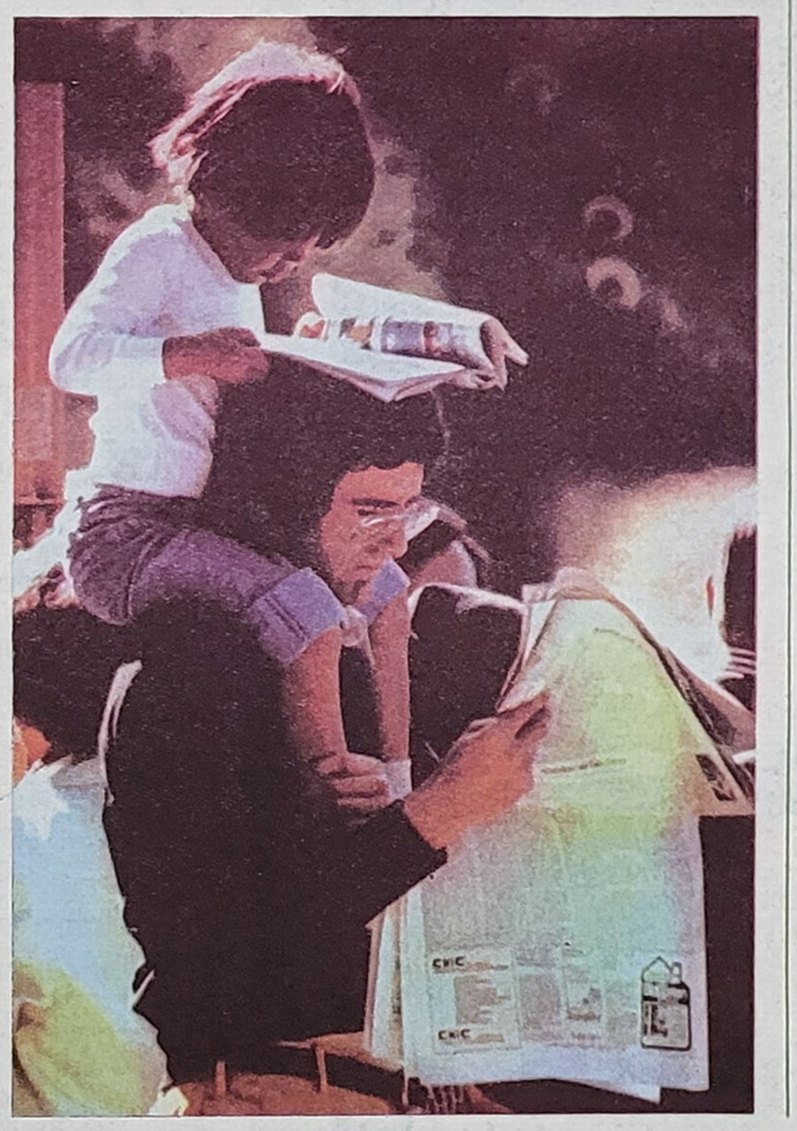

Nacisk tysięcy jednostronnie negatywnych informacji o krajach socjalistycznych sprawia, że nie zorientowany w rzeczywistym stanie rzeczy czytelnik z zachodniej Europy czy USA buduje sobie niekorzystny i nieprawdziwy obraz życia ludzi z za tzw. „żelaznej kurtyny". Na pytanie, jak taki sposób przedstawienia państw socjalistycznych ma się do założenia o „obiektywności informacji" można chyba odpowiedzieć jednoznacznie.

Zdarzają się też fakty zwykłego fałszowania informacji. Oto jeden z najświeższych przykładów, z marca br. Agencja UPI nadała 20.III. br. wiadomość, w której podano, że według rocznika statystycznego RWPG produkcja cukru na Kubie wyniosła w roku 1976 – 5,4 mln ton. Liczbę tę przeciwstawiono danym międzynarodowej organizacji cukrowniczej, z których wynika, że w tym roku wyprodukowano na Kubie o 800 tys. ton cukru więcej. Całość opatrzono komentarzem, że **„rząd radziecki ujawnił dobrze strzeżoną tajemnicę Fidela Castro na temat wielkości produkcji cukru"**. Kłamstwo UPI zdemaskowano na konferencji prasowej, na której dziennikarzom po prostu pokazano prawdziwy rocznik statystyczny RWPG, w którym opublikowane dane zgodne były z tym, co podała międzynarodowa kampania cukrownicza. Sprawę można by było uznać za załatwioną, gdyby nie to, że wiadomość poszła w świat, przedrukowały ją gazety, zapoznali się z nią czytelnicy.

Ten przykład nie należy do wyjątków. A doniesienia zachodnich agencji prasowych mają ogromną rzeszę odbiorców. Skąd bowiem mają czerpać wiadomości zagraniczne małe, lokalne gazety, (tylko w USA jest ich ponad 10 tysięcy), których nie stać na wysyłanie własnych korespondentów zagranicę. Serwis wielkich agencji jest dla nich jedynym źródłem doniesień z innych krajów. Co więcej, ich wiadomości są na ogół przedrukowywane bezkrytycznie, odpowiedzialność za wiarogodność informacji spada na agencje. To one, ukryte za nic nie mówiącymi czytelnikowi skrótami AP, UPI, panują na rynku informacji, kształtują poglądy czytelników, są potęgami o nieomal nieograniczonym zasięgu oddziaływania. Associated Press dostarcza np. prawie 90 proc. wszystkich wiadomości zagranicznych dla prasy, radio i TV w USA. Jest ona monopolem prawie bez konkurencji, który jak pisze Wiesław Górnicki w książce „Giaur w krainie Jankesów" **„...Na dziesięciu wierszach może załatwić się z najtrudniejszymi problemami epoki i do tego opatrzyć rysem historycznym oraz szkicem perspektyw na przyszłość".**

Nie tylko w krajach naszego obozu dość krytycznie ocenia się rzetelność wielkich dystrybutorów informacji. Podobne zarzuty stawiane są publicznie przez przedstawicieli państw rozwijających się. Stwierdzają oni, że skoncentrowanie przekazu informacji prasowych w Nowym Jorku i stolicach państw zachodnioeuropejskich jest w pewnym sensie „nową formą dominacji kolonialnej". Tak ocenia się podporządkowanie informacji o tych krajach schematem politycznym Zachodu i dowolną interpretacją faktów. Przykład takich prób mieliśmy w czasie wojny w Angoli, kiedy to pomoc kubańska udzielona na prośbę prawowitego rządu uznana została przez niektóre światowe publikatory, za „inwazję", a agresja wojsk południowoafrykańskich i zairskich traktowana była niemal jako zbożny uczynek. Aby lepiej zrozumieć sens oskarżeń krajów rozwijających się trzeba wziąć także pod uwagę fakt, że np. wiadomości o jakimś państwie afrykańskim przekazywane są do sąsiadujących z nim krajów via Londyn czy Nowy Jork, czyli, chcąc czy nie chcąc, narzucany jest krajom afrykańskim europejski punkt widzenia na problemy ich kontynentu. Ponadto doniesienia te przygotowywane są pod kątem wymagań czytelników prasy amerykańskiej, czy europejskiej. Dobór informacji dokonywany jest ze względu na stopień sensacyjności, niezwykłości wydarzeń. Na szarym końcu znajdują się natomiast relacje o rzeczywistych, ważnych problemach Trzeciego Świata. Najczęściej o krajach Azji, Afryki, Ameryki Południowej na pierwszych stronach prasy światowej pisze się przy okazji kataklizmów, zamachów stanu.

Często europejski czy amerykański korespondent stykając się z szokującymi go zjawiskami społecznymi, kulturalnymi, obyczajowymi beztrosko nadaje im etykietę „barbarzyństwa", „dzikości", „zacofania", zapominając, że te same zjawiska mogą być zupełnie inaczej oceniane w innych krajach rozwijających się lub, że to co dla niego jest przykładem „zacofania" jest po prostu spuścizną po okresie kolonialnego panowania. Korespondenci „wpadający" tylko na kilka dni do jakiegoś państwa, często przekazują informacje pełne powierzchownych obserwacji, uproszczonych ocen. Nic więc dziwnego, że szereg rządów krajów Trzeciego Świata z rezerwą odnosi się do pracy takich wysłanników prasowych, niechętnie udzielają im wiz wjazdowych. Ronald Kowen, redaktor działu zagranicznego w „Washington Post", określił tę sytuację w ten sposób:

„Odnosimy wrażenia, że Trzeci Świat stopniowo się od nas izoluje. Czasem bardzo trudno jest dostać wizę do kraju, z którym USA żyją w pokoju. Sytuacja pogarsza się z miesiąca na miesiąc."

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

Fot. archiwum

Order Uśmiechu Politowania

Kawalerów takiego orderu jeszcze nie ma, nie istnieje też kapituła, która by go nadawała. Ba, nawet orderu nie ma. Ale być powinien. Koniecznie. Jeśli bowiem ten zwykły Order Uśmiechu nadawany jest, na wnioski dzieci, osobom szczególnie dla nich zasłużonym, to dlaczego ci, którzy też na tej niwie działają i to z wynikami, tyle że wręcz odwrotnymi, mają pozostać nieznani?

Pierwszymi kandydatami mogą być producenci różnych rzeczy nieodzownych w życiu dzieci i młodzieży. Np. drukarnie, które produkują książki bez iluś tam stronic, ale za to z podwójną ilością innych. Godni uwagi są również niektórzy producenci odzieży. Np. tacy, którzy ukochali sobie „bogatą kolorystykę". Po spotkaniu dziecka, młodzieńca lub dziewczyny, odzianych w czerwono-zjadliwie fioletową z jaskrawo żółtymi wstawkami kurtkę, człowiek dostaje oczopląsu, drgawek, a co mniej odporni rzucają się do ucieczki na oślep ulegając ulicznym wypadkom. A później się mówi, że winni są piesi...

Kandydatów do UOP jest wielu, wystarczy rozejrzeć się po sklepach, lub wspomnieć gorzkie przeżycia, których nam nie skąpią. Dlatego też właściwie nieważne jest kogo zarekomenduję do odznaczenia. Można zacząć np. od Spółdzielni Pracy „Mechanik" w Legnicy i jej dobrej woli w dziedzinie „zaspokojenia potrzeb rynku na odcinku wózków dziecinnych". Dobrej woli tylko, niestety, bo z nią nie idzie w parze dobra jakość. Konkretnie więc zastanówmy się nad „Wózkiem dziecięcym sportowym typ M-418 z parasolką". Cena wózka – 1.300 zł... Wartość użytkowa... Z Centralnego Domu Dziecka „Smyk" w Warszawie dojechał pusty do domu zupełnie prawidłowo, choć na trzech kołach gdyż czwarte nie chciało się upokorzyć i dotknąć ziemi. Innych wózków z Legnicy nie było. Zgodnie z wcześniejszymi – optymistycznymi przewidywaniami pod ciężarem 8,5 kilogramowego pasażera, uparte koło zaczęło się turlać w zgodzie z pozostałymi. Tydzień ostrej, rajdowej jazdy (10–14 godzin, wliczając postoje), jako że pojazd nosi nazwę sportowy – choć sam producent nie ma pewności, nazywając go czasem „szprychowym" – po warszawskich chodnikach z babcią za kierownicą, to jest za... nie wiem jak to się nazywa i w „M-418" uległo awarii zawieszenie. Pojazd przechylił się na jedną stronę, pasażer palnął głową w dość twardą żelazną konstrukcję i zaalarmował przechodniów okropnym wrzaskiem. „Sportowa" jazda się skończyła. Okazało się, że pod ciężarem 8,5 kg konstrukcja pojazdu uległa odkształceniu, co z kolei spowodowało skrzywienie się jednego z głównych metalowych bolców czy jak to się tam nazywa, który wziął i wypadł.

Zaczęło się studiowanie „gwarancji", którą, niestety, otrzymuje się zawsze przy dokonaniu zakupu. A instrukcja obsługi i gwarancja „mechaników" z Legnicy, jest dziełem objętościowo godnym ponaddźwiękowego samolotu. Wynika z niej, że pojazd może służyć dzieciom do lat trzech. A więc bez metryki oraz oświadczenia co najmniej dwóch świadków, którzy zważyli pasażera w momencie zaistnienia awarii o żadnej reperacji gwarancyjnej nie może być mowy. Użytkownik pisany z dużej litery rośnie w dumę i czyta dalej, choć rosną w nim też wątpliwości. Starczy. Karta gwarancyjna wózka „M-418" zawiera tyle niekonsekwencji, niejasności, zwykłej chęci spławienia „Użytkownika", że dalsze jej cytowanie nie ma sensu.

Uprzejmie proszę Spółdzielnię Pracy „Mechanik" o nie nadsyłanie wyjaśnienia, z którego jasno wyniknie, że mają osiągnięcia, a reklamacje są poniżej limitu. To zupełnie oczywiste. Nikt zdrowy na umyśle nie będzie się pchał w komplikacje i kłopoty, które dokument ten wprost mnoży przed „Użytkownikiem".

Oczekuję od Czytelników zgłoszeń następnych kandydatów do Orderu Uśmiechu Politowania. Może rzeczywiście zaczniemy go przyznawać?

JERZY KOWALKOWSKI

„OKO WIATRU" popłynie szlakiem sir Francisa Drake'a

WIELKA BRYTANIA (PAP). Zespoły naukowców brytyjskich oraz ekipy badawcze szeregu krajów przygotowują zakrojoną na szeroką skalę wyprawę pod kryptonimem „operacja Drake". Wyprawa podjęta w ramach programu eksploatacji i badań naukowych należeć będzie do najbardziej ambitnych przedsięwzięć naukowych od czasów opuszczenia przez słynnego żeglarza epoki elżbietańskiej portu w Plymouth w 1577 r. – pisze agencja Reutera, przypominając jednocześnie zasługi Drake'a jako odkrywcy, podróżnika i zwycięzcy nad armadą hiszpańską pod Kadyksem w 1587 r.

Wyprawa szlakiem Drake'a nie ma wprawdzie na celu przywiezienia niezliczonych skarbów, za to jej celem jest penetracja wielu nieznanych do tej pory zakątków globu ziemskiego i zbadanie szeregu zjawisk meteo-biologicznych i przyrodniczych, zarówno na Ziemi, jak i w morskich wodach.

„Operacja Drake" zorganizowana zostanie kosztem ponad pół miliona funtów (900 tys. dolarów), a jej termin ustalono na październik przyszłego roku. Wyprawa prowadzona pod kierunkiem naukowców brytyjskich składać się będzie z dziesięciu osobnych zespołów młodych ludzi z różnych krajów, którym przydzieli się różnego typu prace badawcze, stosownie do ich zainteresowań i kwalifikacji.

Zakres zadań, jakie postawili przed sobą organizatorzy wyprawy obejmuje m. in. prace archeologiczne związane z poszukiwaniem śladów dawnych kultur na terenie Panamy – aż po badania wód Morza Czerwonego, jednego z najcieplejszych i najbardziej zasolonych mórz kuli ziemskiej.

Główny bohater wyprawy, 150-tonowy dwumasztowiec „Oko wiatru" („Eye of the Wind"), zbudowany w Niemczech jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej, stanowić będzie siedzibę sztabu wyprawy i pomocniczą bazę dla dziewięciu naukowych zespołów młodych badaczy.

Potencjalni uczestnicy wyprawy poddani zostaną testom medycznym i psychiatrycznym, które umożliwią wybór osób legitymujących się absolutnym zdrowiem i odpornością psychiczną.

Pierwszym etapem wyprawy będzie Panama, gdzie – przy udziale uczonych z tego kraju – przeprowadzone zostaną studia botaniczne w regionach lasów tropikalnych oraz prace wykopaliskowe dwóch „zagubionych" miast. Pierwsze z tych miast – Acla zbudowane zostało przez hiszpańskiego konkwistadora, pierwszego z europejskich odkrywców Oceanu Spokojnego Vasco Nunez de Balboa. Drugie – stanowiło ongiś szkocką kolonię, znaną pod nazwą Nowego Edynburga i opuszczone zostało w 1699 r. z powodu niezdrowego klimatu i nieustannych napaści miejscowych Indian.

W Nowej Gwinei, drugiej pod względem wielkości wyspie na Ziemi, prowadzić się będzie badania speleologiczne oraz penetrację możliwości eksploatacyjnych rzek tło tej pory nieprzewidzianych dla żeglugi.

Wyspy Galapagos, znane z bogatej endemicznej flory i fauny, dostarczą badaczom materiałów do ważnych biologicznych obserwacji. Podobnie jak grupa wulkanicznych wysp na Oceanie Spokojnym – Fidżi.

Ostatni etap wyprawy stanowić będą obszary Morza Czerwonego oraz najbardziej oddalone regiony wybrzeża Sudanu, gdzie przeprowadzone zostaną obserwacje nad pewnym gatunkiem „gwiazdy morskiej" pożerającej koralowe rafy.

Okres trwania wyprawy przewidziany został na dwa lata.

Trzypiętrowe budynki osiedla w Jibacoa zdobione są kolorowymi pasami. Architekci usytuowali je ukośnie w stosunku do promieni południowego słońca, co zapewnia mieszkańcom odpowiednią porcję cienia

Jerzy Kraśniewski pisze z Kuby

JIBACOA

WIEŚ PRZYSZŁOŚCI

Ciąg dalszy ze str. 1

Moi opiekunowie byli nad wyraz cierpliwi,gdy podziwiając plantacje owoców mango, pomarańczy czy ananasów, opóźniałem przyjazd na umówione spotkania. A przecież jedząc w restauracji słodkie ziemniaki, zwane patatami, musiałem zobaczyć je na polu. Moi rozmówcy, wysłuchując życzliwie przeprosin za spóźnienia, nieodmiennie podkreślali: plantacje, które widziałem, były przed rewolucją znacznie mniejsze, nie mówiąc o wydajności, która, dzięki nowym technikom i nawozom, wzrosła kilkakrotnie. Najważniejsze są przy tym przemiany społeczne, zachodzące od kilkunastu lat na kubańskiej wsi oraz to, jaka ona będzie – powiedzmy za lat dziesięć. Bo prawda jest taka, że Kuba mogłaby z łatwością wyżywić trzy razy liczniejszą ludność, niż obecnie (9 mln), państwo stara się więc stworzyć odpowiednie warunki.

Reforma rolna z 1959 roku wyzwoliła na wsi ogromne siły. W pierwszym i drugim jej etapie podzielono około 5 milionów hektarów ziemi uprawnej. Akty nadania otrzymali przede wszystkim ci, którzy ją uprawiali. Nie podzielono jedynie latyfundiów uprawiających ryż, trzcinę cukrową oraz wielkich farm hodowlanych. Są to dziś wzorowe gospodarstwa państwowe. Rozwój wydarzeń sprawił jednak, że od 1971 roku wielu rolników zaczęło przekazywać ziemię państwu, jednocząc się w spółdzielnie produkcyjne lub gospodarstwa doświadczalne. Część podjęła pracę w majątkach państwowych. W rezultacie dziś w rękach państwa znajduje się ok. 79 proc. gruntów uprawnych, co umożliwiło wprowadzenie na dużych obszarach bardziej nowoczesnych metod uprawy.

Jakaż więc ma być kubańska wieś np. za lat dziesięć – piętnaście? Na pierwszą odpowiedź musiałem czekać ponad tydzień. Właśnie w połowie mego pobytu na Kubie otrzymałem zaproszenie do Jibacoa – wsi o jakiej marzy wielu kubańskich rolników.

Kiedy około godziny 11.00 zatrzymaliśmy się w samym centrum małego, nowoczesnego osiedla, sądziłem, że to zwykła przerwa w podróży na szklankę zimnej wody lub soku. Ale nasza opiekunka, Alida Piedras, oznajmiła, że jesteśmy na miejscu. Staliśmy przed budynkiem zarządu wiejskiej wspólnoty, który, jak się nieco później okazało, mieścił jedno z centrów kultury i wypoczynku po pracy. Jednak uwagę naszą przykuły przede wszystkim wielkie fotogramy rozwieszone na korytarzach. Przedstawiały wieś, której – jak usłyszałem – już nie ma: niziutkie, kryte trzciną chatki, zwane biohio, po części walące się, a przy nich bosi, biednie odziani ludzie.

Spacerując później na osiedlu, niebaczni na południowy skwar, poznaliśmy niektórych spośród nich, a m. in. Ramonę Arzolę i jej rodzinę – Angelę Castro z mężem Ernesto Hernandezem. Sędziwa Ramona, mimo 106 lat pełnego trudów życia, doskonale zachowała w pamięci lata nędzy i głodu, kiedy to większość rolników nie była nigdy pewna swego jutra.

Wieś w tej okolicy, podobnie zresztą jak na całej Kubie, była ogromnie zróżnicowana przed rewolucją. Sięgam do materiałów, udostępnionych mi przez przedstawicielkę imstytutu zajmującego się rozwojem rolnictwa. Dominowały trzy grupy mieszkańców: tzw. precaritas. Określano ich często pogardliwym mianem guajiros, czyli po naszemu – dziady. Sporą grupę stanowili tak zwani połownicy, którzy za uprawianie obszarniczej ziemi oddawali połowę plonów. Wreszcie aparceros. Ci ostatni za zbiory uprawianej trzciny cukrowej, tytoniu czy kawy otrzymywali takie stawki, jakie zapewniały największy zysk właścicielowi ziemi.

A teraz wspólnie porównajmy: w 1957 roku farmy kubańskich bogaczy stanowiły 1,5 proc. ogólnej liczby gospodarstw na wyspie, natomiast zajmowały połowę uprawianego obszaru. W rękach tych najbiedniejszych pozostawało 60 proc. wszystkich gospodarstw i tylko 40 proc. ziemi uprawnej. Ramona Arzola, jej rodzina i sąsiedzi z tego samego bloku doskonale pamiętają, że dzieci chłopskie naprawdę nie piły mleka, krzywica była powszechna. Mięsa nie widywano miesiącami. Gruźlica wyniszczała całe rodziny. Średnio połowę mieszkańców stanowili analfabeci. W materiałach opublikowanych niedawno przez kubańskich emigrantów w USA, ludzi, których trudno posądzić o sympatię do socjalistycznej Kuby, można znaleźć wstrząsające dane: przeciętnie na 100 uczniów rozpoczynających naukę w szkole podstawowej na wsi, ponad 80 proc. kończyło edukację maksimum w trzeciej klasie.

Ze szczególną goryczą moi rozmówcy wspominali bezrobocie. Pracy, głównie przy zbiorach trzciny cukrowej, starczało na około cztery miesiące. Przez resztę roku jej nie było. I trudno było coś poradzić, zważywszy na brak przemysłu i deszczową porę, która trwa od połowy maja do połowy listopada, kiedy to na polach niewiele się dzieje. A opady w podzwrotnikowym klimacie są przeciętnie trzy razy obfitsze niż w Polsce.

Jest południe. W osiedlu prawie pusto. Spośród 1100 mieszkańców na miejscu pozostało niewielu. Niemal wszyscy mężczyźni pracują w miejscowym kombinacie hodowlanym, który znany jest z krzyżowania ras krów w celu poprawy stanu pogłowia bydła na Kubie. Kobiety, jeśli nie prowadzą domowego gospodarstwa, również pracują w okolicznych miejscowościach. Po południu wszyscy powracają do wygodnych mieszkań. Trzyosobowa rodzina Ramony Arzoli zajmuje trzy pokoje z kuchnią i łazienką. Każdy z mieszkańców osiedla otrzymał w prezencie od państwa telewizor i wyposażenie kuchni.

Jeśli w osiedlu jest cicho i sennie, to w położonej na końcu wsi szkole podstawowej aż kipi. Trafiłem akurat na lekcję gimnastyki klas starszych. Mimo trzydziestostopniowej temperatury uczniowie ćwiczą – dla nich nie jest to jeszcze upał. W cienistym patio spotykam grupę młodszych dzieci, odbywają lekcje na powietrzu. Każda z dwunastu klas jest dobrze wyposażona, 320 uczniów ma też do swojej dyspozycji basen pływacki. Po południu miejsca w ławkach zajmują dorośli mieszkańcy.

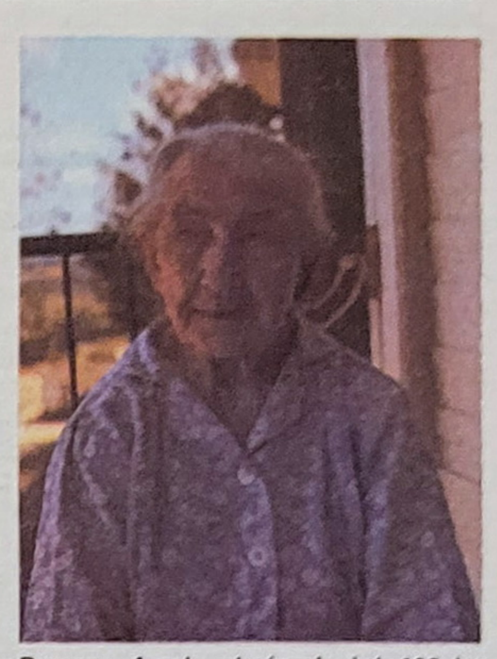

Ramona Arzola ukończyła już 106 lat życia

Powracamy do osiedla, gdzie gospodarze zachęcają nas do odwiedzin sklepów, poczty, polikliniki, biblioteki, żłobka, salonu fryzjerskiego. Po pracy dorośli mają do swej dyspozycji różne możliwości odpoczynku. Społeczny zarząd wiejskiego osiedla stara się zapewnić warunki do wszechstronnego rozwoju wszystkich obywateli. Ważne jest zdrowie człowieka i jego sprawność fizyczna, lecz także ogólny poziom kultury, oczytanie.

Upał coraz większy. Dość zwiedzania, dość wizyt. Siadamy w świetlicy przy wonnej kubańskiej kawie. Pytam i notuję. Na Kubie wybudowano już ponad 350 takich osiedli, ale jest to, oczywiście, za mało w stosunku do potrzeb. Inni czekają z utęsknieniem na kolorowe wygodne domy. Przed rewolucją na wsi był tylko jeden szpital. Dziś jest ich ponad sześćdziesiąt, a ponadto 120 gabinetów dentystycznych i ok. 350 poliklinik. To wielki postęp. Takie osiedla, jak w Jibacoa, stwarzają warunki szybkiego podnoszenia poziomu życia na wsi. Czy będzie to jedyne rozwiązanie? Chyba nie. Kubańscy specjaliści pracują także nad innymi.

Jaka więc będzie kubańska wieś za kilkanaście lat? Na pewno inna w górach Oriente, inna w pobliżu Hawany, ale wszędzie bogatsza. Już dziś socjalistyczna rewolucja zrobiła dla rolnika ogromnie dużo. Ludzie odpłacają za to wzmożoną, coraz wydajniejszą pracą.

Fot. **autora**

Na boisku szkoły podstawowej uczniowie, mimo trzydziestostopniowej temperatury, ćwiczą. Dla nich nie są to jeszcze upały

Nauczyciel wf wraz z asystentką, prowadzi zajęcia na boisku sportowym. Póki co – trwa egzamin teoretyczny

PRZEJAŻDŻKI PEGAZEM

Listy z dna samotności

Wiele ich otrzymuję. Tych dramatycznych i tych smutnie pogodzonych z losem. Listów, które czytam ze ściśniętym gardłem i takich, które mnie drażnią. I choć nie na wszystkie tu odpisuję, każdy mnie przecież porusza. Jak ten:

„Nie wiem, jak pisać, jak zacząć ten list, bo chodzi o to, że jestem sam, zupełnie sam. Nie mam nawet z kim podzielić się swoimi wrażeniami, porozmawiać o tym, czym się interesuję. Napisałem kilka wierszy i nie mam ich komu przeczytać...

Ten list to jedno wielkie żalenie się, właściwie nie wiem nawet, dlaczego go piszę. Chyba po prostu muszę się komuś wyspowiadać ze swoich smutków. Tak, jestem smutny. Bo i z czego mam się cieszyć? Ktoś ma dziewczynę, ktoś przyjaciela – a ja, co? Kolegów, których interesuje najbliższa dyskoteka, ostatni kryminał lub chwalenie się kto ile wypił. To mi nie odpowiada. Chciałbym poznać kogoś, kogo interesuje poezja, historia starożytna i jeszcze parę spraw – ale czy podejdę do nieznajomego na ulicy i zapytam: przepraszam, czy lubisz wiersze? Nonsens!

...Znając moje fenomenalne szczęście wątpię nawet, czy przeczytacie ten list. Pomyślicie: głupiec. A jak się naprawdę czuję, powie może ta próba wiersza:

diabli mnie biorą
jestem sam i zły
nic mi się nie udaje
przeklęty pech
uśmiech – rzadki gość
już dość dawno
do drzwi nie pukał
a niech to
jestem sam i zły
na dworze zimno
jest zmrok
światła się gdzieś palą
kolorowe firanki w oknach
za nimi cienie
a ja tu siedzę sam
diabli mnie biorą
i jestem zły"

Stanisław z Warszawy

I cóż mam odpowiedzieć? Że Staszek nie jest sam, bo... takich samotnych jest wielu? Ot, choćby jak **Mirek z Sosnowca**, który pisze:

„Moja twórczość traktowana jest przez rodzinę i bliskich z przymrużeniem oka... Staram się pocieszać i uspokajać swym młodym wiekiem oraz brakiem doświadczenia w sztuce pisania, lecz atmosfera wokół mnie daje mi dużo do myślenia. Ojciec uważa mnie za maniaka, dziwaka, czasami wydaje mi się, że jestem wyrodkiem. Mama cieszy się wprawdzie mymi wierszami, ale boję się, że nie chce sprawiać mi przykrości."

Mirek nie znalazł też zrozumienia wśród kolegów z Zasadniczej Szkoły Budowlanej i jak wyznaje, wstydzi się pisania wierszy. W jednym z nich tylko buntuje się:

„chowam się pod szafą
krzyczeli
żebym wyszedł
żebym usiadł
żebym był normalny
pokazałem im
palcem kółko na czole".

Nie uciekajcie pod klosz smutku, nie odstraszajcie otoczenia ponurą twarzą. Szukajcie przyjaciół nie czekając na czyjeś nagłe Wami zainteresowanie, lecz sami okazując je co dzień innym! Tak zwykle radzę. A przecież wiem, że czasami, mimo najlepszych chęci, mimo ufności i sympatii okazywanej wszystkim, nie znajduje się zrozumienia. Wiem, że można nie spotkać w swej szkole czy osiedlu kogoś nam podobnego. Tym łatwiej o to, im bardziej jesteśmy „nieprzeciętni" – choć oczywiście nie wszyscy samotni są wybitnymi indywidualnościami...

Wiersze Staszka i Mirka rzeczywiście nie są najlepsze, zbyt mało są jeszcze dojrzałe, by zapewniły im jeśli nie zainteresowanie otoczenia, to przynajmniej jego szacunek, poważanie, jakim darzy się znanych lub choćby drukowanych twórców. Autorom zamieszczonych tu listów pozostaje więc na razie radość pisania, radość czerpana z kreowania własnego świata, wypowiadania siebie. Potwierdzenia swych racji, przekonania o własnej wartości szukać też mogą czytając. To we wzruszeniu, w zamyśleniu nad książką spotykają się na tej ziemi wszyscy, którym nie wystarcza dyskoteka i libacje! Pisze o tym Mirek, któremu wiarę w słuszność obranej drogi przywraca poezja Stanisława Różewicza.

Spójrzmy na samotność jeszcze z innej strony.

Często tak wielką wagę przywiązujemy do posiadania przyjaciela dlatego, że nic innego w życiu nie mamy. Nie umiemy go sobie zapełnić, jest puste i nudne, nic nas „nie wciąga z głową i nogami" – tak byśmy zapomnieli o całym świecie. Czepiamy się wtedy kurczowo „swojego" chłopaka lub dziewczyny, boimy się ich stracić, zazdrościmy, gdy okażą choć cień sympatii komuś lub czemuś innemu. Wpadamy w rozpacz, gdy nasza jedyna „własność" ma dość nas i naszej zaborczości.

Od takiej przyjaźni lepsza jest samotność, więcej od niej może nam i innym przynieść choćby pisanie wierszy. To prawda, że wszyscy chcą być lubiani i podziwiani – artyści jednak często potrafią się tego w życiu codziennym wyrzec. Twórczość wszak bywa również związana z cierpieniem. Nie tylko dlatego, że poeci bardziej są zwykle wrażliwi niż inni. Dlatego także, że obrona własnych przekonań wymaga niejednokrotnie rezygnacji z uznania w swym środowisku. Wymaga więc i męstwa, i samozaparcia...

Że używam wielkich słów? A czy piszę o drobnostkach?! Że nie wszyscy potrafią godnie znosić samotność? Ależ dlatego właśnie nie wszystkich warto bliżej poznawać i czytać – a już na pewno – naśladować!

JULEK

W KRĘGU PRZYJACIÓŁ

Związek Harcerstwa Polskiego od wielu lat współpracuje z kilkudziesięcioma organizacjami dzieci i młodzieży całego świata. Dla lepszego poznania organizacji naszych przyjaciół rozpoczynamy dziś druk encyklopedycznych informacji o pionierskich i innych postępowych organizacjach, z którymi Związek Harcerstwa Polskiego utrzymuje kontakty i rozwija współpracę.

Organizacje te uczestniczyły w 1977 roku w Międzynarodowym Festiwalu Dziecięcym w Moskwie i Arteku i uczestniczyć będą w XI Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów na Kubie w bieżącym roku.

AL-GIE-RIA

Organizacja dzieci i nastolatków Algierii jest sekcją pionierską Związku Narodowego Młodzieży Algierii, który powstał z połączenia różnych organizacji młodzieżowych i dziecięcych 19 maja 1975 roku. W języku arabskim pełna nazwa tego Związku brzmi: El Itihad el-Watani li-Echabiba el Djaza'iria, a sekcji pionierskiej – Faraa el Kechef. Organizacja działa pod przewodnictwem Frontu Wyzwolenia Narodowego Algierii.

Pionierzy nawiązują w swej działalności do tradycji walki narodowowyzwoleńczej, jaką toczył lud Algierii w latach 1954–1962. Biorą też udział w realizacji założeń „trzech algierskich rewolucji": rolniczej, przemysłowej i kulturalno-oświatowej.

Członkiem organizacji może być każdy młody człowiek w wieku 6–16 lat. Tworzą oni ekipy (zastępy) liczące 6–10 członków, z 3–4 ekip składa się jednostka pionierska, czyli drużyna. Podobnie jak w naszej organizacji występuje podział na grupy wiekowe: 6–10 lat (achbal i zahrate); 11–13 lat (fetyane i fatayate) oraz 14–16 lat (morchidine i morchidate). W grupach prowadzone są zajęcia kulturalne, techniczne, sportowe i turystyczne.

Działają one przede wszystkim w miejscu zamieszkania. Za aktywność w swej organizacji pionierzy otrzymują wyróżnienia i odznaki, a wyróżniającym się jednostkom i ekipom przyznawane są imiona bohaterów walki narodowowyzwoleńczej. Pozdrowieniem organizacji jest: „Młody – bądź gotów"! Odzew brzmi: „Jestem gotów"! Odznaka zawiera symbole głównych kierunków działania organizacji.(fb)

Fot. **Jacek Fortuński**

Harcerze – swojemu miastu

550 LAT MŁAWY

MŁAWA (HSI). Drugie co do wielkości miasto województwa ciechanowskiego – Mława – obchodzić będzie w przyszłym roku jubileusz 550-lecia nadania praw miejskich. Do tego jubileuszu przygotowują się również uczniowie mławskich szkół średnich i podstawowych. Jednym z głównych punktów uroczystości jubileuszowych będzie „korowód dziejów" – pochód młodzieży ulicami miasta w strojach, jakie noszono od zarania osady po dzień dzisiejszy. Weźmie w nim udział przeszło trzy tysiące dziewcząt i chłopców. W lecie przyszłego roku odbędzie się m.in. zjazd kombatantów – byłych żołnierzy armii „Modlin". Na tę okazję harcerze z Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Wyspiańskiego przygotowują widowisko plenerowe przy Mauzoleum na Uniszkach Zawadzkich. Także sześć dziewcząt, uczennic mławskiego liceum, wchodzi w skład powstałego niedawno przy Towarzystwie Miłośników Ziemi Mławskiej Studia Teatralnego. Zadaniem tego amatorskiego zespołu będzie m.in. „wyrecytowanie" i „wyśpiewanie" przeszłości Mławy i północnego Mazowsza. Kierownikiem artystycznym grupy jest mgr Eugeniusz Łaciak – dyrektor LO, prezes TMZM.

Harcerze wykonają również wiele prac społecznych, by za rok Mława wyglądała jak najładniej. Będą pomagać przy porządkowaniu ulic, szczególnie troskliwie opiekować się parkiem miejskim im. Dąbrowszczaków. Przy pomocy dziewcząt i chłopców powstaną nowe ogródki jordanowskie, place zabaw i gier dla dzieci. **(aug)**

RFN

KANDYDAT DO TRZECIEGO TYTUŁU

Związek piłkarski RFN – Deutscher Fussbal Bund, powstał w roku 1950, a już w cztery lata później reprezentacja tego kraju z powodzeniem wystąpiła w finale mistrzostw świata. Bilans osiągnięć RFN w tej imprezie jest imponujący: zdobyła ona dwukrotnie mistrzostwo świata – 1954 i 1974, wicemistrzostwo – 1966, III miejsce – 1970, IV miejsce – 1958. Jedynie w 1962 r. zespół RFN odpadł w ćwierćfinale, pokonany przez reprezentację Jugosławii 0:1. Piłkarze RFN rozegrali w finałach MŚ 35 spotkań, wygrywając 24, remisując 4, przegrywając 7; stosunek bramek 86:49. W „tabeli wszechczasów" zajmuje RFN drugie miejsce za Brazylią.

Ale zespół, który w 1974 r. zdobył mistrzostwo świata, przestał właściwie istnieć. Zrezygnowali z gry w reprezentacji świetni napastnicy Gerd Mueller i Juergen Grabowski, zakończył karierę zawodniczą doskonały pomocnik Wolfgang Overath, a „cesarz" Franz Beckenbauer udał się na zarobek do nowojorskiego Cosmosu. W kadrze trenera Helmuta Schoena zabrakło też Uli Hoenessa i Paula Breitnera. Ze „złotej" jedenastki pozostali, z dużymi szansami na wyjazd do Argentyny: bramkarz Sepp Meier, obrońca Hans Hubert Vogts, pomocnicy – Reiner Bonhof i Heinz Flohe oraz skrzydłowy Bernd Hoelzenbein.

Trener Schoen mógł jednak swobodnie eksperymentować z zestawieniem nowej reprezentacji, mając zapewniony start w XI MŚ bez udziału w eliminacjach. Wszystko wskazuje na to, że następcą Beckenbauera będzie... para: Manfred Kaltz – Rolf Ruessmann. A to z tego względu, iż ponoć żaden z nich nie jest w stanie osiągnąć klasy „cesarza", natomiast w parze doskonale go zastępują. Na miejsce Gerda Muellera upatruje się uznawanego za najlepszego środkowego napastnika w Europie, choć już niemłodego (27 lat) Klausa Fischera. Do reprezentacji kandyduje wielu świetnie wyszkolonych piłkarzy, a wśród nich: Ruediger Abramczik, Karl Heinz Rummenigge, Bernard Dietz, Erich Beer i Ronny Worm.

Bilans spotkań naszej reprezentacji z zespołem RFN jest dla nas niekorzystny: biało-czerwonym nigdy nie udało się pokonać dwukrotnego mistrza świata. Może to się uda 1 czerwca w meczu inaugurującym XI MŚ na stadionie w Buenos Aires. Wygrali natomiast dwa mecze z amatorskim zespołem RFN w eliminacjach olimpijskich w 1959 r. w Essen 3 : 0 i w 1960 w Warszawie 3 : 1.

Reprezentacja RFN, nasz przeciwnik 1 czerwca na stadionie River Plate w Buenos Aires – stoją od lewej: Meier, Bonhof, Russmann, Kaltz, Beer, Volker; u dołu od lewej: Vogts, Abramczik, Hoelzenbein, Fischer, Dietz.

Fot. **archiwum**

Czy obowiązuje je solidarność?

W naszej klasie zaistniała przykra sytuacja. Chłopcy kupili w szkolnym kiosku cukierki, którymi potem się obrzucali. Nas także nie ominęli. Ci uczniowie dostali upomnienia od wychowawczyni, bo cukierki walały się po podłodze. Następnie jednak pani zmieniła zdanie i powiedziała, że nie ma zamiaru dalej upominać chłopców i całej klasie obniżyła ocenę ze sprawowania. Rozumiemy zasadę: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" lecz jako uczennice ósmej klasy musimy zadbać o nasze oceny, które przecież zaważą o naszej opinii i dalszej nauce. Dlaczego mamy cierpieć za winy niepopełnione, zwłaszcza, że ostrzegałyśmy chłopców, iż marnują po prostu pieniądze. Chłopcy z klasy nie liczą się jednak z naszym zdaniem. Prazniemy usłyszeć zdanie redakcji innych czytelników na ten temat.

Uczennice ósmej klasy

OD REDAKCJI: Zgadzamy się z Waszym poglądem. Nie jesteście zobowiązane do solidarności, która w odniesieniu do wydarzenia z cukierkami byłaby solidarnością źle pojętą, przynoszącą szkodę osobom, które nie zawiniły. Wspólnie z Wami ufamy, że wychowawczyni nie obniży Wam oceny ze sprawowania. (bs)

REDAKCYJNA POCZTA

Postąpiłabym tak jak Kaśka

Przeczytałam list Kaśki w nr 14 naszej gazety i postanowiłam wypowiedzieć się na ten temat. Uważam, że nie ma słuszności jej koleżanka twierdząc, iż Kaśka stchórzyła. Pomyślmy, co by dało chłopakowi jej przyznanie się? Nic. Obydwoje usiedliby z dwójami. Zresztą widzimy, że chłopak, który chyba sobie przypisywał największą winę, nie chciał, aby koleżanka cierpiała. Podoba mi się jego zachowanie. Co prawda powszechne jest mniemanie, że odpisujący i ten, który dał ściągnąć mają na sumieniu taką samą winę. Moim zdaniem tak nie jest, bo w końcu jeden z uczniów trudził się w domu sam, a drugi bezmyślnie ściągał. Można tylko tego pierwszego posądzić o brak koleżeństwa, ale przecież w sytuacjach podbramkowych robi się wszystko. Tak też Kaśka chciała przecież jak najlepiej dla swego kolegi. Jej błąd polega chyba głównie na tym, że zbytnio przyzwyczaiła klasę do ściągania, a to już nie jest dobrze. W przyszłości może ona mieć kłopoty dzięki takim koleżankom, jak ta opisana. Kończąc wypowiedź, chciałabym tylko dodać, iż postąpiłabym identycznie jak Kaśka i uważam jej czyn za słuszny.

Magda

Uwaga, szkoły im. Wł. Broniewskiego

Jesteśmy uczniami Szkoły Podstawowej nr 6 w Kielcach. Nasza szkoła nosi zaszczytne imię wielkiego Polaka i patrioty, Wł. Broniewskiego. Dnia 10 lutego obchodziliśmy bardzo uroczyście 16 rocznicę śmierci tego poety. Z tej okazji, za Waszym pośrednictwem pozdrawiamy wszystkich uczniów szkół noszących imię Władysława Broniewskiego. Życzymy im dobrych wyników w nauce i sukcesów w pracy społecznej. Prosimy te szkoły o skontaktowanie się z nami w celu wymiany doświadczeń. Nasz adres: Szkoła Podstawowa nr 6 im. Wł. Broniewskiego; ul. Prosta 27; 25-371 Kielce.

ŚWIAT, KTÓRY NIE WRÓCI (3)

TAJEMNICA BLASZANEJ KOPUŁY

Pierwszy raz aresztowano go w czasie wiecu urządzonego w Domu Akademickim. Uczestnicy nie bardzo nawet rozumieli, o co chodzi. Policja weszła na salę, wybrała ze 20 osób z tłumu i student Minorski był wśród nich. Przesiedział w zatłoczonym komisariacie przy Grójeckiej dwa dni, nawet ich nie przesłuchiwano, tylko przestraszonych wypuszczono.

„Pan przyszedł do brata"

„Drugi raz zabrali mnie z zebrania Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela) Było nas ze sto osób, przewodniczyła Wanda Wasilewska.**) I nagle wszedł ten słynny „tata Pogorzelski", szef „Defy", czyli tajnej policji, człowiek o genialnej pamięci: raz kogoś spotkał i pamiętał do końca życia. Od agentów wiedział już kto tam jest, bez słowa wskazał więc palcem kilka osób i przymknęli nas na trzy bodaj dni: przesłuchania, wyjaśnienia, groźby.*

Więzienie „Defy" w Warszawie – siedziałem tam pięć razy – było w miejscu, gdzie teraz stoi pomnik Nike. Mieszkam dziś trzysta metrów od tego pomnika...

*W okresie likwidacji „Dziennika Popularnego"***) – aresztowano mnie znowu.*

Leżałem wtedy chory, z wysoką gorączką, u matki na Mokotowie, kiedy przyszedł tajniak z mundurowym policjantem i zaczął robić rewizję. Zrobiło się dość zabawnie, bo równocześnie moi dwaj bracia chodzili bez przerwy po mieszkaniu, żeby go wyprowadzić z równowagi. Jakiś czas trzymał nerwy na wodzy, ale wreszcie zaczął wrzeszczeć: – Ja jestem magistrem prawa i przyszedłem tu służbowo!! Co panowie wyrabiacie!?

A oni na to najspokojniej: – Chodzimy. Nie wolno chodzić po własnym mieszkaniu? Pan przyszedł do brata, nie do nas i proszę sobie nie przeszkadzać.

I dalej chodzili w kółko.

Czerwony ze złości, wybiegł na ulicę, do telefonu, ale wrócił jeszcze bardziej wzburzony. Obcasy mu tylko na schodach stukały. Szef go ostro obrugał, kazał mi się więc natychmiast ubrać i z gorączką mnie zabrali. Wtedy zresztą długo nie siedziałem.

Za czwartym razem poniosłem dużą dla mnie stratę..."

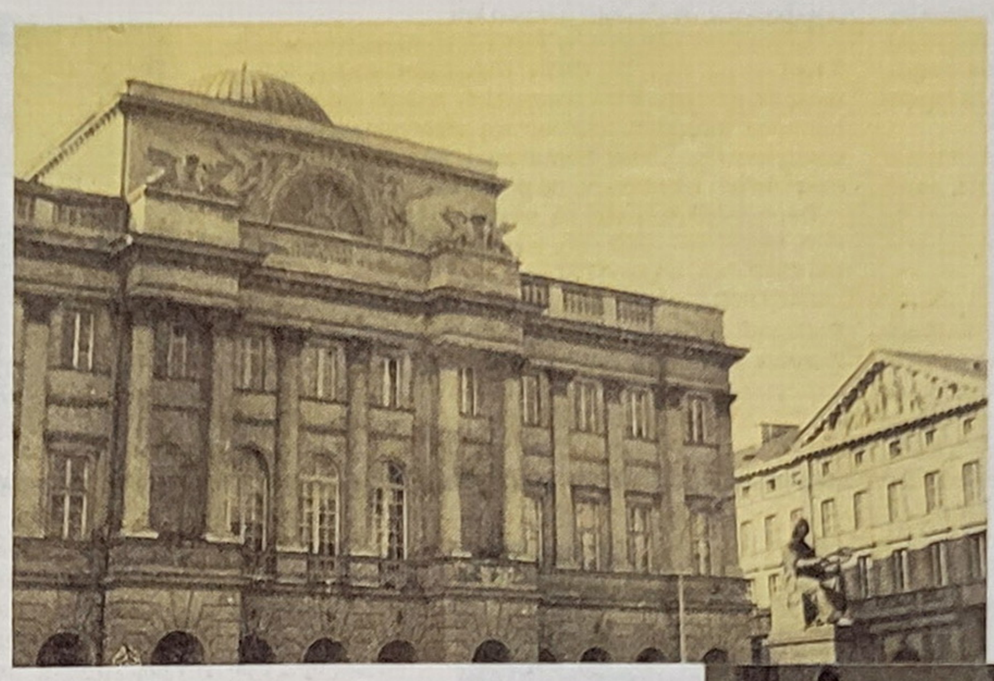

▲ *Pałac Staszica na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. W budynku po prawej stronie mieściło się przed wojną Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. A co było w kopule na Pałacu – przeczytaj w tekście obok*

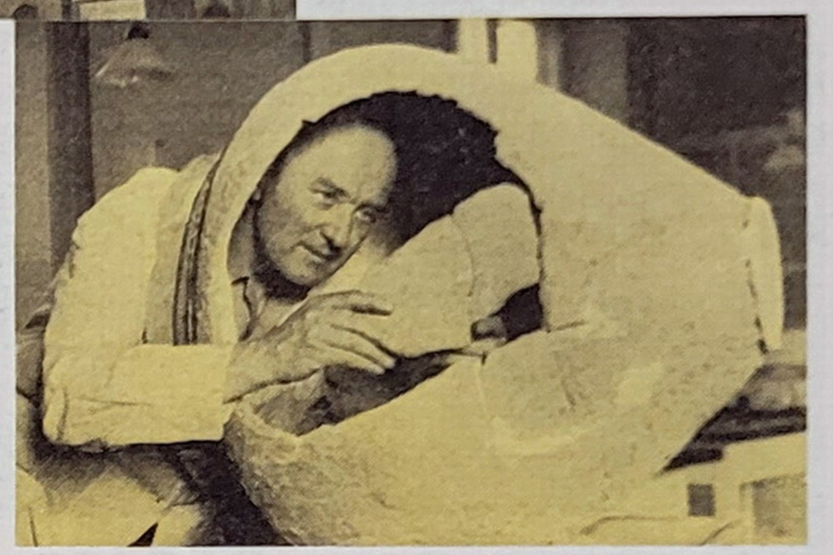

▶ *Konserwator zabytków archeologicznych Kazimierz Kuc*

▼ *Demonstracja 1-majowa w Warszawie w 1935 roku. Od lewej: Genowefa Chwiszczuk, Maria Olko, Jadwiga Paszkowska, Maria Sroka, wszystkie z Zaw. Zw. Prac. Domowych*

Tajemnica blaszanej kopuły

Aleksander Minorski był już w owym czasie członkiem partii kurierem redakcji gazety Komitetu Centralnego KPP i rozwoził po kraju nielegalny „Czerwony Sztandar". Zwiedził wtedy całą Polskę pociągami, autobusami i pieszo, zawsze z walizką pełną „bibuły", której skład mieścił się w jednym z najruchliwszych punktów stolicy.

Jeśli ktoś z czytelników „Świata Młodych" znajdzie się dziś na Krakowskim Przedmieściu, to stojąc na wprost pałacu Staszica przed pomnikiem Kopernika, sam ową kryjówkę może sobie obejrzeć. Wystarczy podnieść nieco wzrok, aby ponad spiżową postacią astronoma zobaczyć zieloną, blaszaną kopułę wieńczącą pałac. To w niej właśnie, na oczach wszystkich, w odległości kilkudziesięciu metrów od siedziby ówczesnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, znajdował się od 1934 roku skład nielegalnych wydawnictw KPP! Nigdy nie został odkryty. Jeszcze w czasie okupacji służył do przechowywania konspiracyjnych dokumentów ruchu oporu.

„W pałacu Staszica mieściło się niewielkie muzeum archeologiczne im. Erazma Majewskiego. Miałem w nim przyjaciela, Kazimierza Kuca, a że z jednej sali dawało się wejść do tej właśnie kopuły – to sam pan rozumie...

Wśród archeologów i etnografów zawsze było dużo ludzi o przekonaniach lewicowych lub sprzyjających nam.

Muzeum prezentowało się skromnie, sale mało kto odwiedzał, ale że w tym samym gmachu mieściły się inne instytucje, ruch przy wejściu był spory. Więc np. towarzyszka Janina Koczocha – doświadczona łączniczka KPP – brała koszyk, z którego sterczała marchew czy pietruszka, owijała się w chustkę i śmiało szła na piętro. Kazik otwierał jej drzwi, dawał lub odbierał co trzeba było i nigdy żadnej wpadki nie mieliśmy. Okazało się, że pod latarnią może być najciemniej..."

Nieoczekiwane spotkanie z hrabią

Autor słów kończących poprzedni rozdział wpadł jednak – razem z kilkoma towarzyszami – przy innej okazji w tzw. kocioł. Policja urządziła zasadzkę w mieszkaniu jego przyjaciela, architekta Michała Tetmajera – również komunisty. Aresztowano każdego, kto wchodził. Przy Minorskim znaleziono tylko rękopis jego dokumentalnej powieści o współtowarzyszce walki, córce górnika Janinie Kaczosze. W tekście nie była ona wymieniona po nazwisku ani z imienia, i można było tłumaczyć się, że jest to fikcja czysto literacka. Mimo tego owoc pracy wielu miesięcy został skonfiskowany i zaginął bezpowrotnie, a sam autor blisko dwa miesiące spędził w „centralniaku". Spotkał tam zresztą... hrabiego Dziewanowskiego, kolegę z klasy w Krzemieńcu: hrabia siedział za przynależność do zupełnie innej partii mającej nieco względów u śledczego – im włosów „na zero" nie ścinano...

W czasie licznych przesłuchań próbowano Minorskiego na siłę „włączyć" do toczącej się sprawy studentów z Politechniki – był wśród nich jego brat – oskarżony również o nielegalną działalność polityczną. Przypadkowo tego dnia nie miał przy sobie żadnych nieprawomyślnych wydawnictw, więc jakoś i tym razem udało mu się wykręcić.

Potem zresztą te dwa miesiące zostały dokładnie opisane przez Minorskiego w „Dzienniku Popularnym" pod pseudonimem i z akcją przeniesioną... do Grecji! Wtajemniczeni wiedzieli jednak dobrze, o kogo chodziło.

cdn

JERZY DĄBROWSKI

Fot. **Aleksander Minorski**

*) Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela, postępowa organizacja społeczna (1921–1937), prowadziła walkę m.in. o amnestię dla więźniów politycznych i zlikwidowanie obozu w Berezie Kartuskiej.

**) Wanda Wasilewska (1905–1964), pisarka i działaczka polityczna, w latach 1943–46 przew. Zarz. Gł. Związku Patriotów Polskich.

***) „Dziennik Popularny", pismo informacyjno-popularne wychodzące w latach 1936–1937, założone z inicjatywy KPP i lewicowych działaczy PPS.

PRZECZYTAJ to ciekawe

Opera dziecięca

ZSRR (PAP). W Tbilisi od dziesięciu lat istnieje przy jednej ze szkół dziesięcioletnich dziecięce amatorskie studio operowe. Ma ono w swoim repertuarze kilka krótkich oper, dostosowanych do możliwości dziecięcych wykonawców. M. in. wystawiło ostatnio jednoaktową operę „Konik polny", której libretto oparte zostało na znanej bajce Kryłowa. **(kl)**

Kosiarka do trawników na powietrznej poduszce

ZSRR (PAP). Kosiarka taka – to nowość skonstruowana przez moskiewskich inżynierów. W ciągu godziny można nią podstrzyc 750 m kw. powierzchni trawy. Kosiarka na powietrznej poduszce lekko „wspina się" po nierównościach, pokonuje wzniesienia nawet pod kątem 45 stopni, a waży zaledwie 14 kg. **(jd)**

Znów zaczyna się mówić o tunelu pod kanałem La Manche

WIELKA BRYTANIA (PAP). Zwiększający się ruch między W. Brytanią a kontynentalną częścią Europy zmusza brytyjskie władze transportowe do zastanowienia się nad rozwiązaniem perspektywicznym. Wśród koncepcji branych pod uwagę znajdują się m. in. szybkie poduszkowce i wodoloty. Odżył także zarzucony z powodu nadmiernie wysokich dla rządów Francji i W. Brytanii kosztów, pomysł budowy tunelu pod kanałem La Manche. Ostatnio poinformowano, iż specjaliści brytyjscy przygotowali „oszczędnościową" wersję podmorskiego połączenia z kontynentem. Dostosowany do przejazdu 120 pociągów w ciągu doby tunel ma kosztować tylko 500 mln funtów szterlingów czyli ok. 950 mln dolarów. Przejazd tunelem powinien trwać nie dłużej niż 40 minut. **(jd)**

LAGONDA

Samochody konstruowane w Wielkiej Brytanii posiadają zazwyczaj bardzo konwencjonalną, nieco udziwnioną i w wielu przypadkach nie najładniejszą linię wozu. Aby uzyskać bardziej atrakcyjną „szatę zewnętrzną" swoich samochodów, angielscy producenci dość często korzystają z usług stylistów zagranicznych, głównie zaś włoskich. Jednakże fakt ten nie jest przykładem na to, że na Wyspach Brytyjskich nie ma zdolnych projektantów nadwozi. Dość często na różnego rodzaju wystawach i salonach samochodowych, prezentowane są projekty ciekawych i ładnych nadwozi, których autorami są właśnie Anglicy.

W naszym kąciku przedstawiałem już tego rodzaju brytyjską konstrukcję oznaczoną marką TRIPLEX TTS. Tym razem pragnę zapoznać Czytelników z inną konstrukcją, którą można byłoby zaliczyć do królewskiej, a to ze względu na bajońską cenę tego samochodu jak również jego bogate wyposażenie i uzyskiwane osiągi. Pod tymi względami samochód ten przewyższa legendarne ROLLS ROYCE.

Samochodem tym jest LAGONDA. Zaprojektował Anglik Wiliam Towns, a zbudowany został na bazie mechanizmów podwoziowych, mechanizmów przeniesienia napędu i silnika, pochodzących z samochodu sportowego ASTON MARTIN V 8 VANTAGE.

Do ukształtowania nadwozia tego samochodu projektant zastosował proste i nieskomplikowane linie. Nadwozie jest bardzo długie i szerokie. We wnętrzu na czterech indywidualnych fotelach mogą podróżować w luksusowych warunkach cztery osoby.

Deska rozdzielcza LAGONDY nie jest wyposażona w konwencjonalne przyrządy zegarowe. Dane o pracy poszczególnych mechanizmów, jak również o uzyskiwanych parametrach, wyświetlane są przy pomocy specjalnych lampek kontrolnych. We wnętrzu wszystko jest zautomatyzowane, począwszy od otwierania okien, ustawiania pod odpowiednim kątem oparć foteli, klimatyzacji itp.

LAGONDA ma silnik umieszczony z przodu, a napęd od niego przenoszony jest na tylne koła. Silnik ten jest 8-cylindrowy, o pojemności 5340 cm sześc, i mocy 300 KM, wyposażony w cztery wałki rozrządu znajdujące się w głowicy. Do zasilania w paliwo służą cztery podwójne gaźniki Weber. Przekładnia zmiany biegów jest automatyczna. Tylny most posiada mechanizm blokujący, zapobiegający poślizgom tylnych kół.

Samochód zawieszony jest z przodu na wahaczach, z tyłu na osi typu DE DION. Układ kierowniczy jest ze wspomaganiem. Przy wszystkich kołach znajdują się hamulce tarczowe, dla lepszej efektywności są one wentylowane. Układ hamulcowy jest dwuobwodowy z podziałem obwodu na oś przednią i tylną.

Dane wielkościowe są następujące: długość 5280 mm, szerokość 1820 mm, wysokość 1300 mm, rozstaw osi 2910 mm, ciężar 1727 kg.

LAGONDA przyspiesza od 0 do 100 km/godz. w ciągu 7 sekund, uzyskuje prędkość maksymalną 225 km/godz. Zużywa od 20 do 25 litrów paliwa na 100 kilometrów.

ZENON DUTKIEWICZ

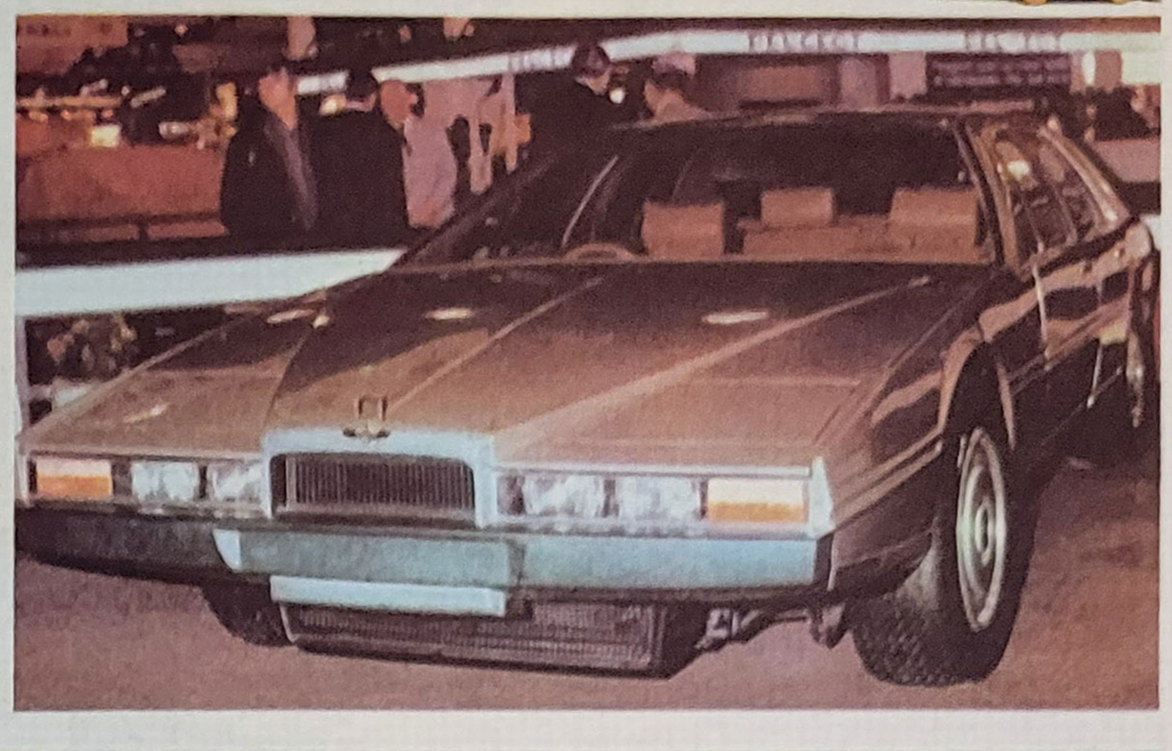

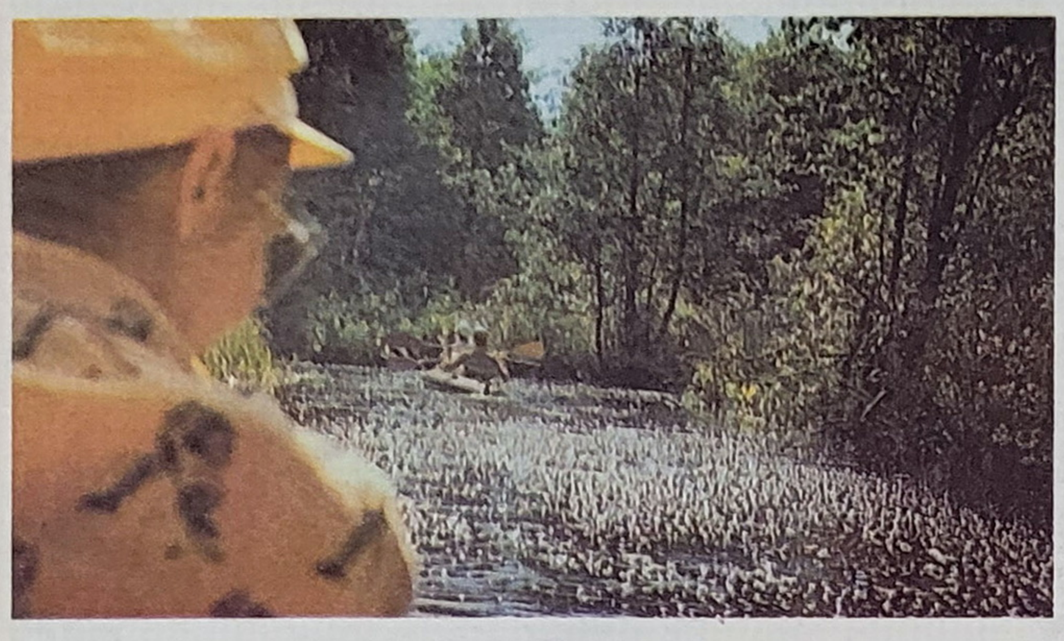

CICHA WALKA O CZYSTĄ WODĘ

Wody czyste poza laboratoriami są takim samym reliktem jak ostatnie zwierzęta w rezerwatach. Szeroka jest definicja wody zanieczyszczonej. Może nią być również woda idealnie klarowna, wręcz krystaliczna jak z górskich potoków. Okiem ani smakiem nie można bowiem wyczuć obecności metali ciężkich, jak związków ołowiu, rtęci czy miedzi lub innych silnie toksycznych. Wodami zanieczyszczonymi są zarówno te, które niosą mętne ścieki z miast i zakładów przemysłowych, jak i te, do których deszcze zmyły nawozy z pól. Niekiedy wody mogą być zanieczyszczone ropą naftową i jej pochodnymi czy niewyczuwalnymi związkami radioaktywnymi lub bakteriami chorobotwórczymi.

Zanieczyszczenia te wprowadzone do rzek rozcieńczają się w nich, ale przy ciągłym dopływie zaczynają gromadzić się i zatruwać środowisko. Broni się ono przed całkowitym zniszczeniem. Wiadomo bowiem, że gdy zatrucie przekroczy pewną granicę, życie zginie i samo się już nie odrodzi. Jakiego typu bronią „walczy" natura o utrzymanie środowiska wodnego zdatnego do życia w nim wodnych organizmów? Jest nią proces samooczyszczania się wód. Główną rolę odgrywają tu mikroorganizmy: saprofityczne bakterie, promieniowce, sinice, grzyby, liczne pierwotniaki np. wiciowce i glony występujące w ogromnych ilościach do tego stopnia, że poza gęstością zmienia się także kolor wody.

Im woda jest bardziej zanieczyszczona, tym zwiększa się przede wszystkim liczebność bakterii. Rozkładają one wszelkie substancje do prostych związków mineralnych. Tak duża ilość pracy wymaga oczywiście znacznego dopływu tlenu. Gdy brakuje go, do głosu dochodzą bakterie rozkładające zanieczyszczenia beztlenowo, ale w wyniku tego powstają związki przykre często w zapachu np. mocznik, indol, skatol lub wręcz trujące jak siarkowodór.

Człowiekowi wydaje się, że poznał już zasady tej gry o życie lub wyginięcie. Na niektórych odcinkach może rzeczywiście pochwalić się sukcesami. Duże zakłady przemysłowe mają oczyszczalnie ścieków. W olbrzymich zbiornikach odbywają się procesy wstępnego samooczyszczania. Koncentracja mikroorganizmów i ścieków jest często tak znaczna, że woda przypomina gęstą zupę, a na skutek wydzielającego się ciepła wokoło zbiorników zimą jest strefa stopionego śniegu. Stale doprowadzany jest tlen, a kilkunastometrowe łapy bez przerwy mieszają całą tę zupę dokładnie ją napowietrzając. Ścieki przechodzą przez wiele takich zbiorników, by wreszcie znacznie już oczyszczone zostały odprowadzone do rzek, gdzie procesy rozkładu kontynuowane są na mniejszą skalę. Oczywiście nie jest to w praktyce takie proste. Namnażające się na ściekach mikroorganizmy w krótkim czasie stanowią tak dużą masę, że... same zaczynają zanieczyszczać. Jednym ze sposobów uchronienia się przed tym jest zużytkowanie tej biosauny do nawożenia pól, a gdy są nią glony – do wzbogacenia paszy.

Co się dzieje, gdy ścieki – zwłaszcza organiczne – nie są oczyszczone i gromadzą się w akwenie? Nawet największe i najgłębsze morza powoli wtedy wymierają, nie mówiąc już o jeziorach, stawach czy niewielkich rzeczkach. Na dnie tworzy się wielometrowa warstwa osadów, procesy mikrobiologiczne zachodzą tam nadal, ale w warunkach beztlenowych. Wydziela się wówczas siarkowodór, który zatruwa resztę i tak chorego środowiska.

Bakterie, pierwotniaki, grzyby są w stanie skutecznie rozkładać substancję tylko wtedy, gdy cząstki zanieczyszczające są bardzo rozdrobnione. Zwiększa się wtedy ich powierzchnia, do której przyczepiają się bakterie. Wtedy z pomocą przychodzą większe wodne zwierzęta, począwszy od ruchliwych pierwotniaków czy zwierząt żyjących tylko na dnie. Ich rolą jest często właśnie rozdrabnianie zanieczyszczeń. Niektóre z nich mają przy tym zdolność filtrowania wody. O tym, jak to się dzieje, opowie w jeden z najbliższych czwartków uczestnik tegorocznej Olimpiady Biologicznej – Marek Domański.

Na zdjęciu pierwszym pokazany jest zespół potężnych zbiorników stacji oczyszczania wód ze ścieków rafineryjnych, w których odbywa się zasadniczy etap samooczyszczania się wód. Barwne plamy na następnym zdjęciu to kolonie bakterii i glonów wyrosłych z 0,01 ml. oczyszczonej już wody. I wreszcie ostatnia fotografia. Jeżeli do niewielkich zbiorników ze stojącą wodą dostaną się zanieczyszczenia organiczne, to na skutek beztlenowego rozkładu wydziela się masowo siarkowodór w postaci tysięcy podpływających bez przerwy pod powierzchnię pęcherzyków gazu. Takie fragmenty turystycznych szlaków wodnych przestają być atrakcją, a płynięcie wśród trujących wyziewów bąbelkującej siarkowodorem wody jest wręcz niebezpieczne.

Tekst i zdjęcia
MAREK OSTROWSKI

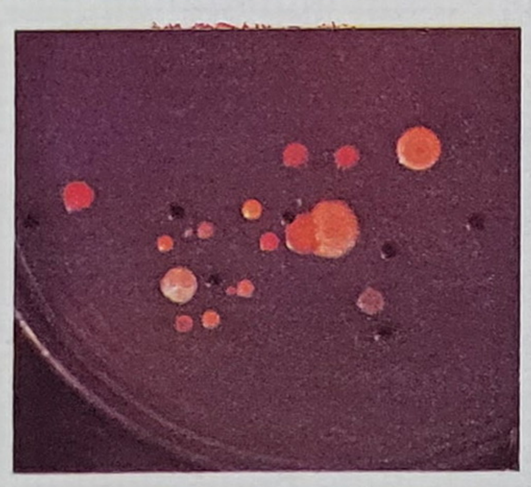

Kolonie bakterii i glonów wyrosłych z 0,01 ml. oczyszczonej wody

Oczyszczalnia ścieków

FOTOGRAFIA PRZYRODNICZA (24)

Zdalne wyzwalanie migawki

W poprzednim odcinku dowiedzieliście się o dwóch sposobach fotografowania ptaków w ten sposób, aby stanowiły one jak największy fragment klatki fotograficznej.

Ale jest jeszcze inne rozwiązanie pozwalające fotografować zwierzęta z bliskich odległości bez konieczności użycia teleobiektywów czy konstruowania znacznych rozmiarami budek. Jest nim zdalne wyzwalanie migawki. Na zdjęciu pokazane jest urządzenie typu zegara czasowego, które może być przydatne do tego rodzaju zdjęć. Aparat stawia się na statywie np. w pobliżu nory, gniazda, wodopoju, maskuje go i nastawia urządzenie przyłączone wężykiem do aparatu. Gdy odejdziemy zwierzęta wrócą i wówczas w zaprogramowanym czasie nastąpi wyzwolenie migawki. Jest jednak duża niedogodność – nie możemy w tym przypadku świadomie wybrać momentu wykonania zdjęcia. Może przecież się zdarzyć, że w przewidzianym czasie ptak akurat odleci lub chmura zakryje słońce i w sposób zasadniczy zmienią się warunki ekspozycji.

Musicie więc sami skonstruować inne urządzenia. Na wężyk działa sprężyna (wciśnięcie migawki wymaga pewnej siły!). Sprężyny można więc zdalnie uruchomić np. pneumatycznie (na drugim końcu nierozciągliwego przewodu duża gruszka gumowa) czy przez mechaniczne odciągnięcie linką zaczepu sprężyny. Ma to znaczenie przy fotografowaniu dużych zwierząt dzikich, które mogą nagle stać się agresywne. Jedynym mankamentem tej metody jest konieczność – przed wykonaniem każdego zdjęcia – podejścia do aparatu i ponowne naciągnięcie migawki. Przy kilkakrotnych podejściach bardziej płochliwe zwierzęta mogą już nie powrócić. Metoda ta jest często niezastąpiona, ale też trzeba stosować ją z umiarem.

Tekst i zdjęcie
MAREK OSTROWSKI

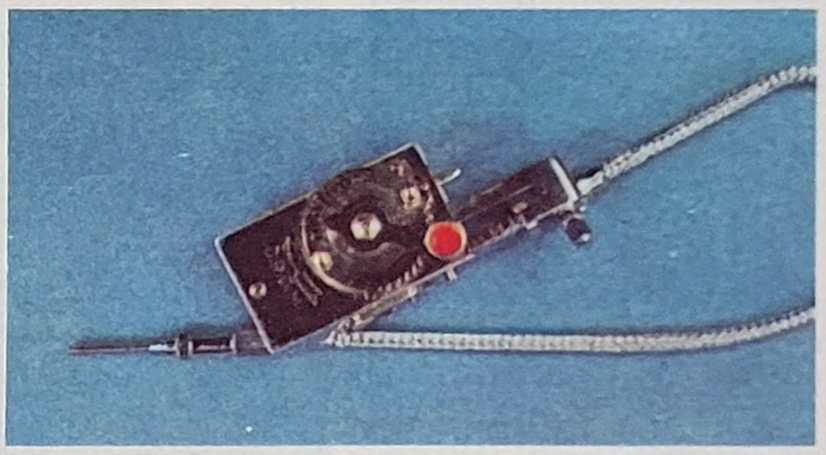

Z rubryki fotograficznej korzystają także osoby, które dopiero zetknęły się z fotografią. Artur Nowak pyta, jakim aparatem można wykonać zdjęcia kolorowe i czy do tego celu nadaje się aparat Smiena 8. Zdjęcia czarno-białe czy kolorowe zależą nie od aparatu, lecz od filmu, jaki do niego włożymy. Gdy będzie to film do diapozytywów, otrzymamy barwne tzw. slajdy. Czasy naświetlania zawarte są w postaci rysunków w ulotce znajdującej się przy każdym filmie. Naświetlony diapozytyw najlepiej jest przesłać do Laboratorium Fotograficznego FOTON, ul. Piękna 13, 85-303 Bydgoszcz lub ul. Wolska 45, 01-201 Warszawa, a także FOTOPLASTYKA ul. Grunwaldzka 4/6, 81-759 Sopot. Filmy wywołuje też Laboratorium FOTO-KOLOR ul. Żeromskiego 35, 50-321 Wrocław.

W każdym przypadku konieczne jest umieszczenie adresu zwrotnego! Wymienione Laboratoria są koncesjonowane przez firmę ORWO i wywołują filmy najlepiej i najtaniej. Diapozytywy zostaną później przesłane na Wasz adres za zaliczeniem pocztowym. **(mo)**

Kochani, doczekałam chwili, aż uzbierało się 10 listów z pytaniem: „swetr czy sweter?" I teraz już mogę po raz kolejny w tym kąciku odpowiedzieć, że SWETER, a nie swetr. Sweter, czyli dwie sylaby, swe-ter – dwa ruchy szczęką dolną. Może tym razem zapamiętacie. Chociaż na dwa miesiące, bo nie chciałabym się zbyt często powtarzać.

To pytanie zaczęło mnie dręczyć od chwili, gdy w jednym numerze „ŚM" zobaczyłam imię Jakub napisane przez ó. Chciałabym wiedzieć dlaczego, bo dotychczas wszędzie spotykałam się z pisownią przez u. A przy okazji proszę o podanie znaczenia tego imienia.

Elżbieta

Imię **Jakub** istotnie piszemy przez **u** zwykłe. Pisownię z **ó** stosuje się niekiedy, gdy Jakub nie jest Polakiem (np. Ibrahim ibn Jakób). Imię to jest pochodzenia hebrajskiego (Jaakob), znaczy: *trzymający za piętę*. W wielu

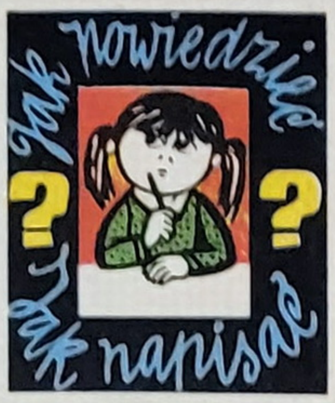

językach w drugiej sylabie utrzymuje się głoska **o** (ang. Jacob, niem. Jakob), stąd i u nas wziął się kiedyś zwyczaj, by pisać **Jakób**. Dziś zdecydowaliśmy się na **Jakuba**, ale pamiątką po Jakóbie są takie nazwiska, jak: Jakóbczak, Jakóbiak, Jakóbiec.

Niedawno mieliśmy sprawdzian ortograficzny z polskiego. Kolega dostał z niego ocenę niedostateczną dlatego, że nad kilkoma „i" nie napisał kropek. Czy kolega dostał słusznie dwóję? Czy brak kropki nad „i" jest błędem?

Szczepan z Poznania

Nie mnie wyrokować, czy słusznie dostał dwóję. Ja bym jednak taka ostra nie była, bo to nie tyle błąd ortograficzny, ile usterka. Ale może ta dwójka zmusi kolegę do uwagi; trudno, kropka nad „i" (małym) być musi. Bez niej łatwo pomylić **mieć** z **mleć**, **kiep** z **klep** i nieporozumienie gotowe. Wyjaśnić coś do końca, żeby nie było wątpliwości – to **„postawić kropkę nad i"**. Znasz to powiedzenie, prawda?

Kłóciłyśmy się z koleżanką, jak brzmi w miejscowniku słowo „mucha" (oczywiście nie zdrobniale). Joasia sądzi, że mówi się o muchie, a ja, Jola, że o musze. Więc bardzo cię prosimy, droga Kropko, osądź nas!

Joasia Świerkot i Jola Puchacz z Katowic

Wyrok wydać muszę, że mówimy **o musze**. I **o ropusze** też.

Wasza KROPKA

Autorką dzisiejszego portretu Rzepinki jest Gosia Ryś.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

...bardzo dziękuję Esmeraldzie za codzienne sny o miłości nadawane przez jej Studio Telepatyczne! Śnią mi się co noc i to w kolorze! Aśka.

To był wyjątek z pewnego listu. Otóż to! Już czas najwyższy (wiosna w pełni!) przypomnieć wszystkim Czytelnikom, że nasza działalność nie ogranicza się jedynie do redagowania gazety – zajmujemy się też reżyserowaniem i wymyślaniem snów. Nocą (od godz. 10.00), przekazujemy Wam nasz kolorowy program snów, korzystając z fal telepatycznych.

Dziwi nas jednak, że Aśce śnią się tylko sny o miłości. Przecież w naszym wiosennym programie nadajemy też sny o wycieczkach do lasu, o wieczornym ognisku, o białych żaglach, o słonecznych górach, o jeziorach i wakacjach.

* * *

KĄCIK POSZUKIWAŃ

Mirka Pałka, 42-207 Częstochowa, ul. Tuchowskiego 2 m 29, chciałaby spłacić dług koleżance, która zmieniła adres.

* * *

Wojtek Pieniak przysłał mi bardzo ładne „życzenie" urodzinowo-imieninowe:

Obyś sukcesy miał jak Gadocha
życzy gorąco ktoś, kto Cię kocha!

* * *

WIO-SENNY KONCERT ŻYCZEŃ

Rozpoczynamy nieśmiało nasz doroczny koncert życzeń STUDIA „SEN". Oto pierwsza „jaskółka":

...Proszę Cię, Esmeraldo o trochę wesoły i trochę smutny, wiosennie kolorowy sen dla Darka. Koniecznie z happy endem! Byłoby cudownie, gdyby w czasie tego snu kol. Amorek bezbolesnie ugodził w serce Darka... „Wilga"

Da się zrobić! Jeśli tylko Darek sypia po nocach, Twój sen, Wilgo dotrze do niego z pewnością!

Do zobaczenia
Wasz Rzep

RYSOWANE SŁÓWKA

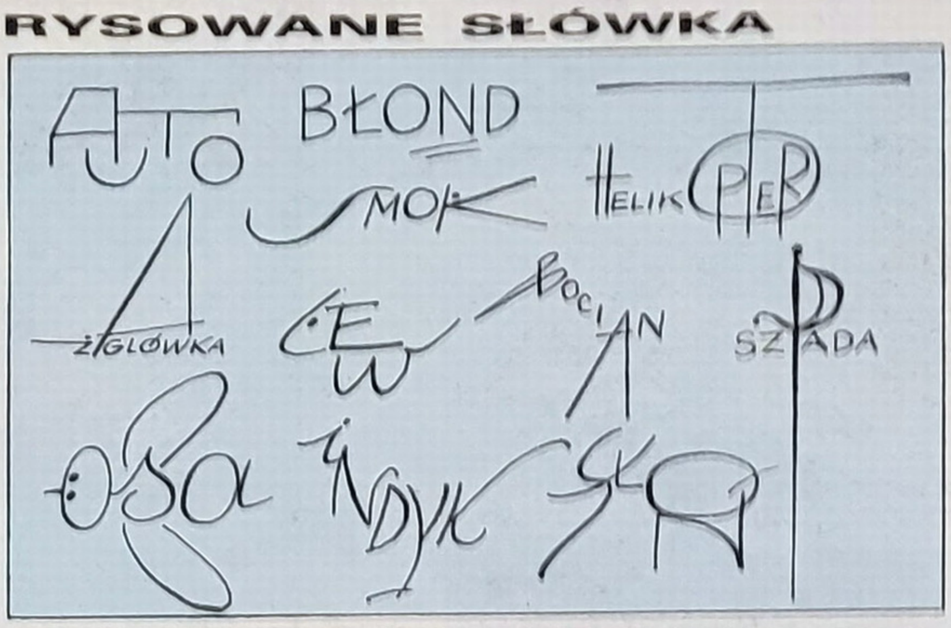

Nadesłali: Kasia Chętnik, Monika Klepacka, Joasia Bednarkiewicz, Jola Szczecińska, M. Czarnecka i Tomek Cwiell.

RZEPKLUB

Wpisuję na listę klubu Marka Dąbrowę. Obok – nadesłany przez niego żart rysunkowy.

Rys. W. Lewiński

dy, żeby zmoczyć wysuszone gardła, bo dzień był upalny. Musi pan odszukać Dankę Jabłońską albo Dołęgowskiego.

– O ile wiem, Danuta Jabłońska skończyła politechnikę, wyszła za mąż za jakiegoś cudzoziemca i wyjechała z Polski w nieznanym kierunku.

– To Dołęgowskiego niech pan odszuka. On był kapitanem na „Szkwale". Jest teraz wielką figurą w ministerstwie. Zrobił się ważniak. Gdy tędy przejeżdża, udaje, że mnie nie poznaje. Kolegi – żeglarza nie poznaje – mruknął z goryczą. – Dlatego, że uniwerku nie skończyłem i teraz pracuję na stacji benzynowej. Ale nie każdemu w życiu się wiedzie. Ja nie miałem szczęścia.

Pomyślałem, że prawdopodobnie za bardzo lubił zaglądać do kieliszka. Ale zapytałem o innego członka załogi, Joannę Ziębicką.

– Jej nie spotkałem od tamtego czasu – pokręcił przecząco głową. – Może wyjechała z Warszawy?

– Podobno skończyła ekonomię i pracuje w jakimś banku – wtrąciłem.

Popatrzył na mnie z ironicznym uśmiechem, chytrze przymrużył oczy.

– Pan wspomniał, że pracuje pan w muzealnictwie, prawda?

– Owszem.

– Ale tym staruszkiem interesuje się pan prywatnie?

– Tak.

– To czemu pan mi od razu nie powie, że nie żadne tam wierszyki i poezje panu w głowie, tylko zna się pan na rzeczy i wie, że za takie obrazy i malowidła, które miał ten staruszek, można dobrze zarobić.

– Ależ ja... – chciałem mu przerwać, lecz nie dopuścił mnie do głosu.

– Nie jestem taki głupi, choć pracuję na stacji benzynowej – rzekł ściszając głos. – Gazety też czytam od czasu do czasu. Wiem, że na całym świecie ludzie interesują się tak zwaną sztuką prymitywną. Na słynnym Nikiforze to mój znajomy nieźle zarobił, jak jego obrazki wywiózł do Francji. Albo inny mój znajomy, obraz Ociepki wywiózł. Sprzedał go w Paryżu i mógł tam żyć przez miesiąc. Tu, pod naszą stację, niejeden przejeżdża. Zna się wielu ludzi. Bywa tu taki, co właśnie handluje obrazami, starociami i tym podobnymi rzeczami. Dobrze wychodzi na tym interesie, bo jeździ nie takim gratem jak pański, tylko wspaniałym BMW. Gdybym mu powiedział, że znam adres nieznanego artysty ludowego, to by mnie ozłocił.

Przeraziłem się. Ten człowiek mógł pokrzyżować moje plany. Miał oczywiście rację. Nie tylko w Polsce, ale na całym świecie panowała moda na sztukę ludową. Iluż to moich znajomych, wyrafinowanych artystów, przyozdabiało swoje mieszkania ludowymi świątkami i prymitywnym malarstwem wiejskich artystów? Za rzeźbę Janasa z Dębna płacono ogromne sumy. Tak samo za obrazy Teofila Ociepki, dawnego górnika, który malował przecudne, barwne, przedziwne zwierzęta i bajeczny świat dziwów. Co pewien czas odkrywano nowych artystów ludowych i zaczynano ich lansować, podbijając ceny za ich rzeźby i obrazy. Przyjeżdżający do Polski cudzoziemcy także bardzo interesowali się naszą sztuką ludową i kupowali co się dało, bo na współczesne malarstwo ludowe nie nakładano ograniczeń przy wywozie za granicę. Znaleźli się nawet pośrednicy, którzy odwiedzali ludowych artystów, nabywali od nich obrazy i rzeźby po niskich cenach i odsprzedawali je dalej z zyskiem. Najlepiej opłacało się „odkryć" takiego artystę, nieświadomego wartości tworzonych przez siebie dzieł, wykupić jego twórczość i potem odsprzedawać po dziesięciokrotnie wyższej cenie. Muzea etnograficzne miały często kłopoty z tymi handlarzami, bo nabywali najpiękniejsze okazy sztuki ludowej, które powinny trafić do muzeów.

– Nie znam rzeźb ani malarstwa tego staruszka – rzekłem do Śliwowskiego. – Natomiast poznałem jego wiersz. Poeta był świetnym, ale czy równie świetnie rzeźbił i malował? To są sprawy dla znawców, panie Śliwowski, dla etnografów. A ja skończyłem historię sztuki.

– Ale potrafi pan odróżnić dobry obraz od złego, brzydką rzeźbę od pięknej? – zachichotał.

– Słusznie. Rzecz w tym jednak, że chodzi mi o wiersz. O poezję tego człowieka. Może to jeden ze wspaniałych, ale nikomu nie znanych ludowych poetów mazurskich? Zresztą pan i tak nie pamięta ani nazwiska tego człowieka, ani adresu.

– W tej chwili nie pamiętam – skinął głową. – Ale zrobię wszystko, żeby sobie przypomnieć.

Podałem mu swój bilet wizytowy z telefonem w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

– Proszę do mnie zadzwonić, a wystaram się dla pana o jakąś nagrodę – starałem się go zachęcić.

Popatrzył na mnie drwiąco.

(Cdn.

SPOKOJNE ŻYCIE LEOKADII

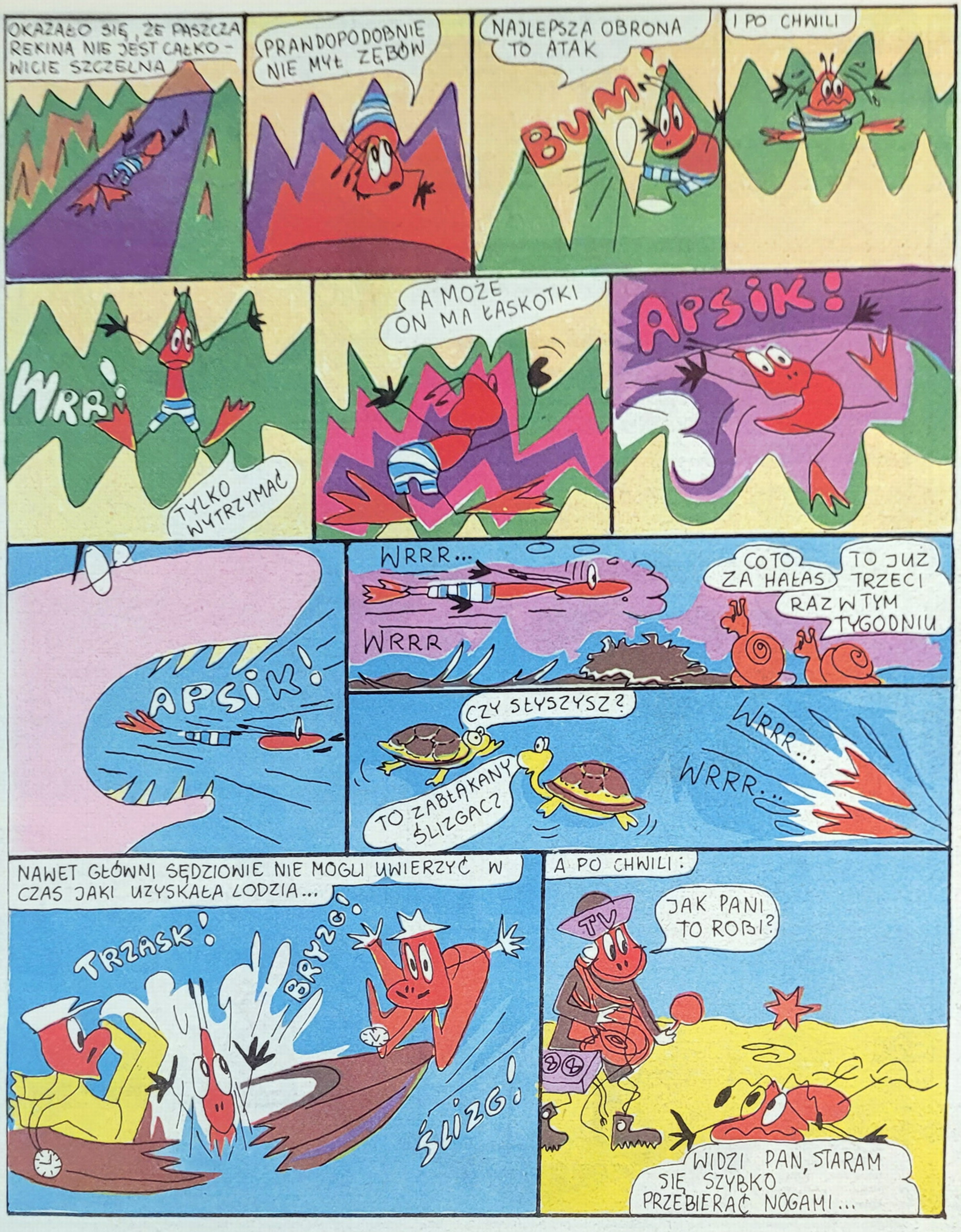

W.K. Wij
Rys. Ewa Przyjemska

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 593-230, telex 0315327).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM (Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Krzywickiego 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-21 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna
Małgorzata Kula

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa
Nr zam. 2812/G S-31

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY
00-581

Być może już trafili na ślad poety – poirytowanym głosem rzekła Kika. – Są tu przecież już chyba cztery dni. A my zaczęliśmy rejs z dużym opóźnieniem. Pan zaś, panie Tomaszu, zdaje się w ogóle nie przejmować, że oni grasują po jeziorze i gotowi nam całą sprawę sprzątnąć sprzed nosa. Myślałam, że pan jest bardziej ambitny. To my, a nie oni musimy odnaleźć tego poetę.

– Nie widzę nic tragicznego w fakcie, że to oni staną się odkrywcami – powiedziałem spokojnie. – Ostatecznie zależy mi na tym, aby ustalić nazwisko człowieka, który napisał „Złotą rękawicę". Nie ma znaczenia, kto tego dokona.

– A dla mnie to ma znaczenie – wybuchnęła Kika. – To my, a nie oni, powinniśmy dokonać tego odkrycia!

Po sekundzie zmieniła ton.

– Gdy dopłyniemy do Siemian, pójdę do nich na przeszpiegi i wywiem się, czy trafili już na właściwy trop – zaproponowała.

– Nie zgadzam się – odrzekłem stanowczo. – To są niedozwolone metody działania. Oni nie są naszymi przeciwnikami, a jedynie konkurencją.

– Szkoda...

– Przecież i tak będziesz mogła ich odwiedzić – powiedziałem. – Ale bez szpiegowania.

Lecz tego dnia nie było nam dane dopłynąć do Siemian. Bo zza drzew porastających półwysep wyłoniły się raptem żagle omegi bez żadnych znaków rejestracyjnych. Łódź płynęła szybko fordewindem. Psycholog, który miał na szyi lornetkę, przyłożył ją do oczu i krzyknął:

– To oni! Piraci! Widzę Rogera na maszcie...

Omega z czarną flagą na maszcie zbliżyła się do obsadzonego przez wędkarzy pomostu z żerdzi. Niemal otarła się o pomost, mieczem i płetwą sterową zrywając żyłki i spławiki. Chóralny wrzask wypełnił powietrze, ale piracka omega już płynęła dalej, gnana silnym wiatrem od rufy.

* * *

Jan Śliwowski, przed piętnastoma laty pierwszy oficer na jachcie „Szkwał", miał około czterdziestu lat, tyle co dyrektor Dołęgowski, ale wyglądał na lat sześćdziesiąt. Niechlujnie ogolone policzki, pobrużdżona twarz, chytrze przymrużone oczy, wypłamiony smarami niebieski kombinezon pracownika stacji benzynowej. Poprosiłem, aby napełnił mi bak wehikułu do pełna, zapłaciłem za paliwo i oświadczyłem, że mam do niego ważną sprawę. Nie okazał najmniejszego zdumienia, jakby załatwianie spraw „na boku" dość często zdarzało mu się z klientami stacji benzynowej, w której pracował.

– Za pół godziny będę w barze „Małym", tu obok – wskazał mi ręką niewielki bar przy trasie wylotowej na Gdańsk.

Zjawił się punktualnie. Bar był samoobsługowy. Przyniósł sobie z bufetu duży kieliszek wódki i dwie skromne kanapki. Gdy podnosił kieliszek do ust, ręka mu lekko drżała, więc pomyślałem, że Śliwowski chyba za dużo pije.

Pokazałem mu Dziennik Jachtowy „Szkwała", przypomniałem rejs sprzed lat, powiedziałem kim jestem, wyjawiłem kogo i w jakim celu szukam.

– Przykro mi, ale nie pamiętam nazwy miejscowości – stwierdził. – Owszem, przypominam sobie, że byliśmy u jakiegoś staruszka, który Dance Jabłońskiej przeczytał wiersz, a ona go potem zapisała w Dzienniku Jachtowym. Pokazał też nam skrzynię ze swoimi rzeźbami. W izbie miał na ścianach sporo swoich malowideł. Bardzo kolorowych. Ale mnie to nie interesowało. Namówiłem Dołęgowskiego na piwo i poszliśmy do wsi, gospo-

Dokończenie na str. 7